ECHA.

I.

Płynie przede mną
W dal martwą, ciemną,
I cicho zwie:
Pójdź, na mem łonie,
Ból twój utonie
W grobowym śnie.

Z łez ci na wieki
Otrze powieki
Ma zimna dłoń...
Ach, lećmy w ciszę,
Tam ukołyszę
I twoją skroń.

II.

Słyszysz?... W oddali potężne echa
Drżą klęsk rozpaczą...
Czemuż nam szczęścia raj się uśmiecha,
Serca nie płaczą?

Czemuż świat cały, choć przepojony
Bólem i łzami,
W mgłach promienistych świetlnej osłony
Skrzy dziś przed nami.

Czemu nas dwoje, objęła fala
Upojeń cicha,
Gdy w ludzkich duszach ból się przewala,
I żałość wzdycha?...

Czemu dla wszystkich, co cierpią w pyle
Słońce nie wstało?...
Czemu, ach, czemu bierzemy tyle,
Dając tak mało?...

III.

Ja nie chcę wierzyć, że serce twoje,
Co tak gorąco uderza,
Zatrzyma kiedyś śmierć, groźna pani
Z obcego żywym wybrzeża.

Ja nie chcę wierzyć, że ona zmrozi
Płomień twej myśli i duszy,
Że łzy i radość znikną dla ciebie,
Że niczyj ból cię nie wzruszy.

Że twe jedyne, najmilsze oczy
Mogą zagasnąć na wieki,
I że bezemnie odejdziesz cichy,
W przestwór nieznany, daleki...

IV.

Znowu wiosenny błysnął kwiat,
Pękają liście,
Skowronek mknie w błękitów świat,
Nucąc srebrzyście.

Świecą z pomiędzy młodych traw
Fijołków oczy,
Ze śpiewnym szmerem jasny staw
Fale swe toczy.

Wieczorem, cały przestwór drga
Rozgwarem wiosny,
I nawet senna idzie mgła
W taniec radosny.

Czuję, jak łono żyznych ról
Wzdycha i płonie,
Jak tęsknie patrzy bezkres pól
W niebieskie tonie.

Zgińcie, wy cienie smętnych mar,
Puśćcie mą duszę!
Nade mną buja wiosny czar,
W snów zawierusze...

Niechaj mi słońca kirów pleśń
Dziś nie zasłania,
Bo znowu słyszę cudną pieśń —
Pieśń zmartwychwstania.

Bo kocham znów słoneczny kraj,
Różane zorze,
Kocham słowiki, szumny gaj,
Błękitów morze.

Każdą spotkaną kocham twarz,
Bzy i powoje...
Zbudzone serce, śpiewaj, marz,
Rzuć niepokoje!

L.

JUBILEUSZ MARYI KONOPNICKIEJ.

Kraków tylko co był świadkiem wielkiego święta poezyi narodowej. Był to hołd złożony największej z obecnie żyjących poetów naszych. Było to święto pieśni i pieśniarki, a zarazem tej idei, której pieśń poetki naszej służyła.

Chwila to znamienna, chwila pamiątkowa w dziejach myśli naszej. Światło chwilowo wznieconej pochodni jaskrawo błysnęło w starych i szarych murach krakowskich, a ciemności jego nie ogarnęły. Ponure cienie kapturów i tog nie przykryły tych blasków, a żywioły ciemności czuły, że nie wypada im się mieszać do czci dla tej, którą jako kacerkę i demagoga piętnowali, nie śmieli wszakże protestować. Więc jak nietoperze przed blaskiem słońca ukryli się w szczelinach.

Urzędowa nauka i sztuka krakowska trzymały się zdala od uczty duchowej, której nastrój zbyt silny był, aby zmurszałe te czasze wytrzymać mogły taki napój. «Profesorów literatury» nie widzieliśmy w żadnym z momentów obchodu. Ale za to pełno było w sali Sokoła siermięg chłopskich i widzieliśmy łzy płynące z oczu tych ludzi na niepodkręcone i nieufryzowane wąsy.

Milczkiem wręczyli delegaci Uniwersytetu i Akademii swoje urzędownie napisane adresa, a pokryło je milczenie publiczności. Ale za to gorącymi oklaskami witano liczne hołdy swojskie z daleka nieraz przynoszone, również jak przemówienie p. Maternowej w imieniu niewiast czeskich.

Już na kolei tłum osób, zwłaszcza młodzieży szkolnej powitał p. Konopnicką hucznemi wiwatami. Teatr miejski pierwszy ją gościł w dzień przyjazdu. Dwie sztuki umiejętnie wykrojone z jej nowel («Miłosierdzie gminne» i «Głupi Franek») oraz trafnie dobrana deklamacya jej utworów stanowiły repertuar. A gdy poetka w towarzystwie dwóch córek i syna ukazała się w gustownie

wieńcami i zielenią ozdobionej loży, okrzyki i oklaski zaznaczyły entuzyazm przepełniającej teatr publiczności.

Po teatrze raut — na którym serdecznemi słowy podziękowała jubilatka stowarzyszeniom kobiecym za przyjęcie okazane. A nazajutrz 19-go główna uroczystość w sali Sokoła — wręczenie darów.

Tłumno tam było i gorąco — gorąco nietylko w powietrzu, ale i w sercach obecnych. Sala gustownie ozdobiona emblematami wiejskiemi, oczekiwała przepełniona różnorodnym tłumem na jubilatkę, którą przywitał piękny polonez p. Żeleńskiego pod jego dyrekcyą wykonany; później nastąpiła kantata przez p. Galla. Przemówienia zagaił p. Bartoszewicz w imieniu komitetu organizującego uroczystość, trafnie podnosząc zasługi poetki i jej tytuły do wdzięczności narodu. Potem poszły niezliczone dary z rozmaitych stron blizkich i dalekich, wręczane przeważnie w milczeniu, niekiedy z krótkiem przemówieniem. Prezentacya delegacyj z darami zajęła przeszło godzinę czasu.

Odpowiedziała p. Konopnicka słowami pięknemi a pełnemi uczucia szczerego i myśli głębokiej:

«Patrzę w pracę mego życia — mówiła jubilatka — patrzę w odpłatę, jaką mi niesiecie i czuję się zawstydzoną, bo mi tu nadpłacono sto- i tyciąckrotnie; bo praca była uboga i drobna — odpłata była wielka i królewska; bo praca była na miarę jednej duszy ludzkiej — odpłata była na miarę wielkiej zbiorowej duszy narodu... Pieśń moja była stłumiona, często i niedośpiewana — ale wyście sobie ją dośpiewali w duszy».

Na zakończenie chór z towarzyszeniem orkiestry wykonał ośm pieśni dziecinnych p. Konopnickiej z muzyką p. Noskowskiego.

. . . . Rozrzewnieni wychodzili tysięczni świadkowie tej uroczystości, a nastrój ten spotęgowała jeszcze uczta wieczorna, która zgromadziła 150 osób. Wśród epizodów tej uczty były niektóre prawdziwie wzruszające, a odpowiedziała na wszystkie przemówienia jubilatka wierszem zaimprowizowanym.

Ten hołd powszechny złożony poetce świadczy o tem, że twórczość jej nie była tylko melodyjnym brzękiem «lir, co serc próchnem świecą». A jeśli, pomimo całej czci dla mistrzostwa słowa, dla niesłychanej siły obrazów głębi uczuć i myśli, nie odważymy się postawić jej, jako mistrzyni pieśni, obok wielkiego wieszcza, zostającego zawsze niedorównanym, to wszakże pod tym względem poezyom jej przyznać winniśmy równoległe znaczenie

z utworami Mickiewicza: odbijają one najbardziej bolesne zagadnienia naszej doby, jak tamte ujęły zagadnienia pokolenia naszych dziadów. Na tem polega prawdziwa wielkość poety; na tem uznanie powszechne ze strony tych, co łakną światła i postępu, niechęć i zawiść kapłanów ciemnoty. A wśród szarzyzny dzisiejszej twórczości stoi autorka nasza jak olbrzym, wznosząc rękę swoją jako drogowskaz przyszłości: wyciąga ją do jakiegoś wielkiego ducha, jej równego, który przyjść ma dopiero, a którego pieśnią nie łzy, lecz radość tryumfu będzie.

ROZMIARY SPOŁECZEŃSTWA
I ICH REGULOWANIE.

Niejednokrotnie już robiono spostrzeżenie, że nie ma prawd naukowych bezwzględnie nieprzyjaznych człowiekowi w jego aspiracyach ku doskonałości, szczęściu, postępowi; że te, które pozornie stoją w najjaskrawszem przeciwieństwie z najdroższemi marzeniami i pragnieniami ludzkości, mogą stać się ich podporą. Wszystko zależy od tego, na jaki spadną umysł: czy na taki, który rad w nich prędzej widzieć środek do tłumienia owych aspiracyj, czyli odwrotnie, na pełny miłości dla ludzi i chęci służenia ludzkości.

Tak też było z zasadą wzrostu ludności, wygłoszoną przez Malthusa. Znane spostrzeżenie nad dążnością do bezgranicznego rozmnażania się wszelkich istot organicznych, o ile nie napotykają przeszkód ku temu, posłużyło w rękach tego pisarza za argument przeciwko dążeniom do podniesienia całej ludzkości na wyższą stopę godności i etyki, przeciwko ujawniającym się w literaturze końca XVIII wieku, zwłaszcza zaś w pismach Condorceta i Godwina, aspiracyom ku polepszeniu dobrobytu materyalnego i moralnego klas uboższych. Stosownie do tego przybrało ono charakter «prawa» (aspiracye czysto praktyczne, a zwłaszcza reakcyjne, chętnie lubią się ukrywać pod szatą «praw przyrodniczych», imponujących mniej świadomemu ogółowi swoją pozorną bezapelacyjnością), głoszącego, że «przyrost ludności ma dążność do wzrastania szybszego, niż wzrost środków, czyniących zadość jej potrzebom, przedewszystkiem zaś środków wyżywienia».

Wiele rozpraw krytycznych poświęcono owemu, tak zwanemu «prawu Malthusa», a ekonomiści i statystycy udowodnili, że nie tylko dziś, ale i w najbliższej przyszłości stosunek rzeczywistego przyrostu obu uwzględnionych przez Malthusa czynników nie odpowiada i nie będzie odpowiadał jego przypuszczalnemu prawu, że przyczyny powodujące ubóstwo mas, są zgoła odmienne od przeludnienia; że źródłem ich są warunki społeczne, nie zaś przyrodnicze.

Wszystkie te wywody atoli, jakkolwiek poprawne, nie dotyczą rdzenia argumentacyi Malthusa, którą można streścić mniej więcej w takich słowach: «Chcecie uszczęśliwić ludzkość przez podniesienie dobrobytu wszystkich klas; przez danie im ludzkich środków egzystencyi; przez usunięcie nędzy i głodu, chorób i przedwczesnej śmierci, wojen i zaraz? Ale czyż nie widzicie, że środki są regulatorami, które powstrzymują nadmierny przyrost ludności, że skoro tylko je usuniemy, ludzkość pocznie rozmnażać się z taką szybkością, iż wkrótce wszyscy będą zmuszeni umrzeć z głodu, gdyż ziemia nie będzie w stanie wyżywić ich?»

Tego zarzutu nie usuwa oczywiście odpowiedź, oparta na danych statystycznych, a dowodząca, że przy *obecnym* stanie przyrostu ludności, niebezpieczeństwo takie nie zagraża ani dziś żyjącemu, ani kilku najbliższym pokoleniom. Bo w obecnym stanie funkcyonują właśnie czynniki regulacyjne, na które wskazywał Malthus. Nie dotyczy też rdzenia kwestyi inny argument, oparty na słusznem skądinąd twierdzeniu, że zmiana stosunków społecznych, usuwająca owe czynniki, obfitem żniwem śmierci powolnej lub raptownej powstrzymujące przyrost ludności, przyczyni się w niezmiernym stopniu do spotęgowania produkcyi wszelkich zasobów, a w tej liczbie i spożywczych. Wszelkie bowiem spotęgowanie zasobów, zwłaszcza zaś pożywienia, ma swoje granice zakreślone chociażby obszarem lądów. A chociaż nie można dziś przewidzieć, do jakiego stopnia udoskonalenie kultury może podwyższyć wydajność płodów ziemskich, to pewna granica nasuwa się i tu, jako wymaganie logiczne zupełnie nieuniknione.

Przeciwnie, przyrost ludności i wogóle wszelkich istot żywych, przedstawia się teoretycznie jako bezgraniczny, a zarówno obserwacye przyrodnicze, jak i badania statystyczne, wykazują zgodnie, że skoro tylko przeszkody zostają usunięte, przyrost ten przybiera rozmiary groźne.

Wiadomo, że dzieło Malthusa nasunęło Darwinowi myśl osnu-

cia teoryi rozwoju form organicznych na zasadzie walki o byt, a zasługą jego jest gruntowne zbadanie tego objawu w przyrodzie. Każda roślinka zapuszczająca korzenie w glebę i obejmująca na własność wyłączną pewną jej powierzchnię; każde zwierze trawożerne, pożerające pewną ilość wytworów roślinnych, stacza walkę taką z podobnemiż istotami, odbierając im ów środek wyżywienia się, a w ten sposób dzieje się, iż tylko drobna część z niezliczonych zarodków życia dochodzi do rozwoju prawidłowego.

«Nie ma wyjątku z prawidła, czytamy w *Pochodzeniu Gatunków,* że każda istota organiczna rozmnaża się naturalnie tak szybko, iż cała ziemia niebawem zostałaby pokryta przez potomków jednej tylko pary, gdyby nie ulegały zniszczeniu... Linneusz obliczył, że gdyby roślina jednoroczna wydawała tylko po dwa nasiona — a nie ma roślin tak mało produkcyjnych — a każda z wyrastających z tych nasion roślinek, wydała w następnym roku po dwa nasiona i t. d., to w ciągu 20 lat wytworzyłoby się milion roślin (żyjących).

«Słoń uznany jest za najpowolniej rozmnażające się ze wszystkich znanych zwierząt; zadałem sobie pracę obliczenia przypuszczalnego minimalnego jego przyrostu. Jeśli przyjmiemy, że zaczyna się mnożyć, gdy dosięgnie 30 lat, a przestaje mając lat 90, oraz, że w ciągu tego czasu wyda tylko trzy pary młodych, pozostaniemy poniżej granicy jego rzeczywistej płodności. Przypuszczenie takie prowadzi wszakże do wniosku, że po upływie pięciu stuleci, będzie 15,000.000 żyjących słoniów. Mamy wszakże lepsze dowody niż teoretyczne obliczenie; są nimi liczne fakta zdumiewającego bystrością rozmnożenia rozmaitych zwierząt w stanie natury, skoro tylko warunki sprzyjały w ciągu dwóch lub trzech następujących po sobie lat. Bardziej jeszcze uderzającym jest przykład naszych zwierząt domowych, zdziczałych w rozmaitych częściach świata. Przyrost powoli rozmnażającego się bydła i koni w Ameryce Południowej i w Australii byłby nieprawdopodobnym, gdyby nie był autentycznie wiadomy. Toż samo dotyczy roślin... W stanie natury prawie każda roślina wydaje nasiona, a wśród zwierząt bardzo niewiele takich, które nie wydają potomności co roku. Możemy więc śmiało twierdzić, że wszystkie rośliny i zwierzęta dążą do rozmnażania się w stosunku geometrycznym, oraz że każde z nich rychłoby zapełniło wszystkie miejsca, w których może egzystować, oraz że ta dążność do rozmnażania musi być

w rzeczywistości wstrzymywaną w pewnym okresie życia tych organizmów przez ich zniszczenie».

Jednym z najbardziej rażących przykładów jest rozmnożenie królików w Australii. Pewna ilość par królików była w swoim czasie przywieziona i puszczona tam na wolność. Kraj był mało zaludniony, więc człowiek nie zabijał ich w większej liczbie. Naturalnych nieprzyjaciół, jakiemi są sowy i inne ptaki drapieżne, żywiące się młodymi królikami, nie było w Australii. Warunki zaś pożywienia były nader przyjazne. Wynikiem było tak niesłychane rozmnożenie królików w niektórych okręgach, iż stały się plagą rolników, a wszystkie wysiłki ku obronie od nich roślin gospodarskich, okazywały się daremne.

Nie mamy żadnych danych, aby sądzić o szybkości rozmnożenia się ludzi w warunkach zupełnie przyjaznych. Za punkt wyjścia do obliczeń dla Malthusa posłużyły, jak wiadomo, dane, dotyczące Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie ludność podwajała się przeciętnie co 25 lat. Liczba ta nie wyraża wszakże jeszcze maximum przyrostu ludności. W niektórych okręgach wyłącznie rolniczych, gdzie nieznane były niezdrowe rodzaje pracy, a obyczaje były czyste, zdwojenie następowało już po upływie 15 lat. «Jest to bardzo niedostateczną oceną zdolności do rozmnożenia, powiada J. S. Mill, jeśli przyjmiemy, że w dobrych warunkach hygienicznych, każde następno pokolenie stanowi podwójną liczbę poprzedzającego».

Wobec tych faktów i wywodów teoretycznych, nie ulegających żadnej wątpliwości, zarzut Malthusa przeciwko wszelkim próbom podniesienia dobrobytu mas, jako usuwającym «naturalną» regulacyą przyrostu ludności, grożącego najsurowszemi formami walki o byt i głodową śmiercią wszystkich w niedalekiej przyszłości, zostaje w całej sile. Też same fakta wszakże, uderzając w umysły szlachetniejsze wykrzesały z nich zgoła odmienne wywody; a tak stało się, iż to, co w ręku Malthusa było argumentem przeciwko dążnościom ku polepszeniu losu ludzkiego, dla *neo maltuzyan* stało się przeciwnie filarem, na którym owo polepszenie oprzeć usiłowali.

Zajęli oni to stanowisko poprawne względem tak zwanych «praw przyrody», jakie już niejednokrotnie wytykaliśmy dla woli i świadomości ludzkiej [1]), a które nie polega na biernem poddaniu

[1]) Ob. zwł. «Oświata i wiedza przyrodnicza» w *Szkicach filozoficznych* autora.

się pozornej konieczności wobec dogmatycznie przyjętego prawa, lecz na nadaniu warunkom życiowym takiego zwrotu, iżby prawo obróciło się na naszę korzyść, stało się narzędziem naszych pożądań.

Skoro pomiędzy ulepszeniem warunków bytu a grożącem niebezpieczeństwem przeludnienia, istnieje nieprzejednane przciwieństwo, które zażegnywa dziś «naturalna» regulacya drogą szeregu klęsk spadających na ludzkość, to czy nie da się ona zastąpić przez *rozumną* regulacyą, osiągającą ten sam skutek w sposób mniej okrutny, a zgodny z wolą ludzką?

Takie pytanie postawili sobie myśliciele, którym na sercu leżało przedewszystkiem dobro ludzkości, a którzy w faktach i prawach przyrodniczych szukali środków urzeczywistnienia tego dobra, nie zaś osłony dla popędów reakcyjnych. A odpowiedzią na nie była *nauka neomaltuzyanizmu* bardzo niewłaściwie tak nazwana, gdyż jednostki do tej szkoły należące, mają wprost przeciwne Malthusowi dążności, chociaż opierają się na faktach wytkniętych przez niego, a stwierdzonych przez innych.

Praktyka sztucznego regulowania rozmiarów społeczeństwa jest zresztą dawniejszą od dziejów pisanych. Spotykamy ją u ludów znajdujących się na stopie życia przedhistorycznej, a chociaż często przybiera ona tu, a nawet w czasach historycznych (jak w Grecyi starożytnej), formę barbarzyńską dzieciobójstwa; wszakże obok tego u wielu plemion Australii widzimy użycie rozmaitych środków, zapobiegających zapłodnieniu. Myśl o tej regulacyi stanowi troskę filozofów: zarówno Plato, jak i Arystoteles proponują rozmaite środki prawne (późne małżeństwa, zabijanie słabowitych dzieci i t. p.), w celu zapobieżenia zbytniemu przyrostowi ludności.

Bardzo wcześnie wszakże obok względów na dobro społeczeństwa, powodujących troskę o utrzymanie jego rozmiarów w pewnych granicach występują inne, w których jednostki składające społeczeństwo nie są uważane jako cel dla siebie samych (jak tego wymaga zasada etyczna Kanta), lecz jako środek dla innych celów. Takimi względami są przedewszystkiem wojskowość i pewne wyobrażenia religijne. Przy wojskowej organizacyi społeczeństwa wytwarza się dbałość o jak największą ilość żołnierza. Stąd widzimy, że w wojskowo-zorganizowanej gminie rzymskiej bardzo wcześnie ukazują się surowe prawa przeciwko kobietom, uchylającym się od obowiązku dostarczania żywego materyału wojen-

nego; tacy zaś wodzowie-prawodawcy opanowani manią zaborczą, jak Cezar lub Napoleon, wydają szereg przepisów i premij, zmierzających ku powiększeniu liczby dzieci w rodzinach.

W okresie chrześcijańskim pogląd na przyrost ludności, regulował się niektóremi orzeczeniami Pisma św., zwłaszcza zaś nakazem mnożenia się, który Bóg daje Adamowi. Stąd wszelkie usiłowania ku zmniejszeniu płodności, zostają surowo potępiane przez spowiedników, a niechęć względem środków ku temu celowi zmierzających, trwa dotąd w całej sile w krajach katolickich, gdy przeciwnie duchowieństwo protestanckie i anglikańskie zajmuje w tej kwestyi bądź to obojętne stanowisko, bądź przyjazne środkom zapobiegawczym [1]).

W miarę, jak społeczeństwa przybierają charakter przemysłowy nowy motyw wchodzi w grę jako czynnik wytwarzający nieprzychylność względem środków zmniejszających płodność. Mniejszy przyrost ludności powoduje zmniejszenie współzawodnictwa wśród klasy robotniczej, a przez to podwyższenie płacy zarobkowej. To też daje się widzieć, że gdy filantropowie stają w obronie zmniejszenia płodności tej klasy, przemysłowcy niechętnym okiem widzą zmierzające ku temu wysiłki. Zdaje się wszakże, że największym przeciwnikiem racyonalnego regulowania przyrostu ludności jest niczem nieuzasadnione uprzedzenie, przesąd bezmyślny, oparty na niechęci do wszystkiego co nowe i nieutarte, jak to pokaże się za chwilę z walki, którą staczać musieli neomaltuzyanie w Anglii.

Przesąd ten podzielają zresztą i ludzie nauki. Niedawno mieliśmy sposobność słyszeć, jak p. Leroy Baulieu, który poświęcił kurs w Collège de France kwestyi tak powszechnie przez statystów francuskich za nagłą uważanej słabego przyrostu jej ludności, ubolewał z katedry nad tem, że maksymalne premie, jakie może państwo przyrzec ojcom licznych rodzin, nie w stanie są

---

[1]) Tak pastor angielski Tuckwell przedsięwziął w r. 1892 umyślną podróż po Francyi w celu zbadania tej kwestyi. Wszędzie po wsiach znalazł on bardzo ograniczoną liczbę dzieci, a równolegle z tem wysoki stopień dobrobytu, który mu wytłumaczył łatwość, z jaką przed dwudziestu laty Francya mogła spłacić pięciomilionową kontrybucyą. W niektórych departamentach, jak Bretania, gdzie, wskutek potężnego wpływu duchowieństwa, środki zapobiegawcze nie są w użyciu, panuje bez porównania większa płodność, a równolegle i wielkie ubóstwo. (Ob. «Contemporary Review», styczeń, 1892, *Village Life in France).*

zrównoważyć kosztów utrzymania takich rodzin, a więc nie mogą być pobudką do zwiększenia ilości dzieci. Nie przyszło temu statyście na myśl zastanowić się poważnie nad kwestyą, czy istotnie zwiększenie przyrostu ludności leży w interesie ludności francuskiej? Gdyby był na miejscu zbadał rzeczy, jak to uczynił cytowany wyżej pastor angielski, byłby może przyszedł do wniosku, że jedną z głównych przyczyn pierwszorzędnego stanowiska, jakie zajmuje Francya wśród narodów Europy, jest prawie stacyonarny stan jej ludności i wynikający stąd względnie równomierny dobrobyt przeważnej masy ludności.

Bo też pomimo wszelkich przeszkód, interes zbyt poważny skłaniał ludność w krajach rolniczych do uciekania się ku środkom zapobiegającym zbyt licznemu narodzeniu dzieci, których przeciętnie każda rodzina usiłuje nie mieć więcej jak dwoje. Taki uregulowany przyrost ludności panuje obecnie prócz Francyi, cytowanej zwykle jako przykład klasyczny także, w Holandyi, Szwecyi, Norwegii, oraz w znacznej części Szwajcaryi, sprowadzając w tych krajach pewną przeciętną stopę dobrobytu. Również powszechnym jest zwyczaj ten w Siedmiogrodzie, powodując tu względny dobrobyt, pomimo surowego klimatu górskiego i nieprzyjaznej gleby.

Przykład tych krajów, zwłaszcza zaś Francyi, łącznie z wyżej przytoczonymi wywodami teoretycznymi, zachęcił szereg filantropów angielskich do próby wprowadzenia systemu tego w społeczeństwie przemysłowem, jakiem jest Anglia. Przyczynili się oni i do tego, iżby kwestyą tę, dotąd w ciszy załatwianą drogą indywidualnych usiłowań z osobistych płynących pobudek, a przy pomocy środków bardzo niedoskonałych, często dla zdrowia szkodliwych, wepchnąć na tor publicznej dyskusyi, podnieść jej doniosłość społeczną i rzucić na nią światło nauki lekarskiej.

Już w r. 1822 pisarz angielski Francis Place[1]) wytknął niemożliwość wskazanego przez Malthusa środka, polegającego na przepisaniu bezżennego stanu i wyrzeczeniu się rodzinnego życia uboższej klasie ludności, czyli jak to zwano (chyba dla ironii!) «powciągliwości moralnej» *(moral restraint)*, wskazując zarazem na sposoby zapobiegawcze, praktykowane we Francyi. Ideje Place'a wywarły wpływ na słynnego filantropa i socyalistę Roberta

[1]) W dziele p. t.: *Illustration and proof of the principle of population*, Londyn, 1822.

Owen'a, który zalecał je członkom swojej kolonii w New-Lanark. Syn zaś jego R. D. Owen bronił tych samych zasad w piśmie p. t.: *Moral Physiology*[1]). Zwolennikiem tej nauki został również słynny filozof i ekonomista J. St. Mill.

Nie będziemy wyliczali tu wszystkich pisarzy w tym kierunku, nadmienić wszakże winniśmy o bardzo popularnej w swoim czasie książce, wydanej pod pseudonimem «Doktora Medycyny», a przetłumaczonej na wszystkie niemal języki europejskie, w tej liczbie i na polski p. t.: *Zasady nauki społecznej czyli religia fizyczna, sexualna i naturalna*[2]).

Szczególnego rozgłosu wszakże nabrały ideje neomaltuzyańskie w siódmym lat dziesiątku, a niebawem szereg stowarzyszeń utworzył się dla ich szerzenia. Powodem do tego była następująca okoliczność.

W r. 1833 lekarz bostoński Knowlton wydał dziełko p. t.: *Owoce filozofii*, w którem zalecał ograniczenie liczby dzieci i podawał środki zapobiegające zapłodnieniu. Pisemko to było wielokrotnie przedrukowywane w Anglii w ciągu 40 lat, nie budząc najmniejszej opozycyi z czyjejkolwiekbądź strony. W r. 1876 wytoczono przeciwko jego wydawcy, księgarzowi Watts'owi, prywatną skargę o obrazę moralności. Ponieważ Watts, chcąc uniknąć kosztów i kłopotów, uznał się za winnego, sprawa więc nie była zasadniczo przez sąd roztrząsana. Chcąc wywołać rozprawę taką, Karol Bradlaugh i p. Annie Besant wydali powtórnie to dziełko i sprzedawali je publicznie. Sprawa stanęła przed sądem najwyższym i dała wydawcom możność wystąpienia publicznego w obronie doktryny neomaltuzyańskiej. Sąd przysięgłych uwolnił głośnych filantropów od wszelkiej odpowiedzialności, uznając, iż pobudki ich były zupełnie czyste. Wszakże sprawa była oddana pod kasacyą wskutek pewnych nieformalności. Bradlaugh i p. Besant skazani zostali na 6 miesięcy więzienia i karę 200 funtów sterlingów każde.

Tym poświęceniem własnem osiągnęli oboje niesłychanego rozszerzenia doktryny, za którą obstawali. Podczas procesu bowiem sprzedano blizko 100,000 egzemplarzy zaskarżonej broszury, zanim została zakazaną. Później wszakże wydała p. Besant bro-

---

[1]) Londyn, 1832.

[2]) *The elements of social science or physical sexual and natural religion*, by a doctor of medecine. Londyn. 1854. Autorem jest Drysdale. Przekład polski wydany w Zurichu.

szurę podobnej treści p. t.: *Prawo wzrostu ludności, jego następstwa i wpływ na postępowanie i moralność ludzką*, która również uległa prześladowaniu [1]). Rozgłos tej sprawy, do którego nie mało się przyczyniło także wystąpienie lorda najwyższego sędziego w obronie neomaltuzyanizmu, spowodował, że w następnym już roku (1877) zawiązał się «Związek Maltuzyański» *(Malthusian League)*, mający na celu szerzenie słowem i drukiem pożytecznych tych wiadomości, a także przeobrażenie prawodawstwa w duchu, któryby uniemożliwiał prawne przeszkody ich rozszerzeniu. Od r. 1879 Związek zaczął wydawać miesięcznik p. t.: «The Malthusian» z następującym epigrafem: «Istocie rozumnej przeszkody zapobiegawcze muszą się wydać również rozsądnemi, jak te, które płyną z ubóstwa i przedwczesnej śmierci» (Malthus).

Zasady przyjęte przez Związek są następujące:

1) Ludność ma dążność do wzrastania powyżej granic możliwego utrzymania się.

2) Przeszkody przeciwdziałające tej dążności są dwojakie: pozytywne, t. j. niszczące życie, oraz zapobiegawcze, t. j. ograniczające ilość narodzin.

3) Przeszkodami pozytywnemi są: śmiertelność dzieci, głód, wojny i dzieciobójstwo.

4) Przeszkodami zapobiegawczemi: ograniczenie potomstwa przez życie bezżenne lub przez środki zapobiegające zapłodnieniu przy pożyciu małżeńskiem.

5) Stan bezżenny, który zaleca Malthus, powoduje liczne występki sexualne i choroby. Natomiast wczesne zawarcie związków małżeńskich sprzyja czystości obyczajów, życiu domowemu, szczęściu społecznemu i zdrowiu jednostek. Jest to wszakże ciężkim występkiem wobec społeczeństwa ze strony obojga małżonków mieć więcej dzieci, niż mogą wyżywić, odziać i wychować przyzwoicie.

6) Przeludnienie jest największem źródłem ubóstwa, nieuctwa, zbrodni i chorób.

7) Jawna i wyczerpująca dyskusya nad kwestyą ludnościową jest rzeczą żywotnej doniosłości dla społeczeństwa i dyskusye te powinny być wolne od prześladowań.

---

[1]) *The law of population etc.* Londyn 1878; później wydała *Physology of home* (1883) i *Marriage* (1884). Dziś w Londynie nie można nigdzie znaleźć tych druków w handlu. Egzemplarz broszury *Law of Population* mamy z Ameryki Chicago) z napisem «trzydziesty piąty tysiąc».

Prezesem związku został Karol R. Drysdale [1]).

W r. 1882 utworzył się podobny związek w Holandyi («Nieuw-Malthusiaansche Bond»), a propaganda tych zasad zaczęła się szerzyć i w innych krajach.

Można rozróżnić trzy odcienie wśród neo-maltuzyan.

Krańcowi przypisują wszystkie klęski społeczne i ekonomiczne samemu tylko przeludnieniu, a ratunek społeczeństwa widzą jedynie w środkach zapobiegających zapłodnieniu. Do takich należą właściwi neo-maltuzyanie angielscy.

Drugą gromadę stanowią ci, którzy nacisk kładą na przeobrażenie warunków społecznych; wszakże za niezbędny czynnik temu przeobrażeniu towarzyszący lub nawet poprzedzający je uważają przewrot w istniejących obecnie stosunkach ludnościowych przez powszechne użycie środków zapobiegawczych. Do takich należy ekonomista niemiecki K. Kautsky [2]), którego sądy opierają się na ścisłem rozważaniu czynników ekonomicznych i przyrodniczych, a pozbawione są jednostronności zelantów. «Przejście do wyższych form uspołecznienia — powiada on — może tylko czasowo usunąć niebezpieczeństwo przeludnienia, a nawet niebezpieczeństwo to stanie się tem bardziej naglącem, im więcej dobrobytu i szczęścia osiągnie się w ten sposób». «Niewątpliwie, iż przy dzisiejszym stanie wiedzy środki zapobięgające zapłodnieniu, stanowią mniejsze złe, niż inne zjawiska, które pociąga za sobą przeludnienie, a któremi są objawy najsurowszej walki o byt. Jest więc nakazem moralnym przyjęcie tych środków; są one bowiem moralniejsze niż głód i zarazy, wojny i zabójstwa, choroby zakaźne i prostytucya».

Wreszcie umiarkowany kierunek reprezentują ci, którzy w środkach zapobiegających zapłodnieniu widzą tylko sposób złagodzenia niektórych krzywd społecznych, pośrednio zależnych od przeludnienia. Do takich należał J. St. Mill; należy tu także Montegazza, znany u nas z przekładów niektórych dzieł jego; z niemieckich pisarzy Zacharias.

Przechodząc do oceny ogólnej tego ruchu tak mało jeszcze

[1]) Autor przytoczonej wyżej rozprawy o *Nauce społecznej*, wydał także *The population question according to Malthus and Mill*. Londyn, 1873.

[2]) Z książką jego p. t. *Der Einfluss des Volksvermehrung auf den Fortschritt der Gesellschaft*, mamy nadzieję niebawem bliżej zapoznać naszych czytelników w formie przekładu lub przeróbki odpowiedniej.

u nas znanego, możemy zreasumować ją w następujących zdaniach:

Nadmieniliśmy już wyżej, że złe społeczne obecne, budzące szereg zagadnień praktycznych, zwykle ujmowanych pod nazwą zbiorową kwestyi społecznej, w jej dwóch głównych odłamach, kwestyi ubóstwa mas i podniesienia położenia kobiety, płynie z dwojakiego rodzaju przyczyn: wadliwych urządzeń społecznych oraz przyczyn naturalnych. Ogólną zasadą usunięcia pierwszych jest przeprowadzenie odpowiednich reform racyonalnych, dające się osiągnąć drogą prawodawczą; drugich — rozumne zużytkowanie wykrytych przez wiedzę praw przyrody na korzyść człowieka.

Pomiędzy obu wymienionymi rodzajami przyczyn zlego i środkami ku ich usunięciu, istnieje taka zależność, że wszelkie próby polepszenia urządzeń społecznych, prowadzące do podniesienia dobrobytu ogólnego, muszą spotęgować zle skutki przyczyn naturalnych (dążności do bezgranicznego rozmnażania się, a więc do przeludnienia, nie «względnego», jakie dziś istnieje, lecz bezwzględnego), a w ten sposób udaremnione zostaną wszelkie reformy czysto społecznej natury, o ile jednocześnie regulowanie rozmiarów społeczeństwa nie stanie się praktyką powszechną i nakazem obyczajności.

Środki zalecane przez neo-maltuzyan [1]) należą do tych, które zdobycze fizyologii i wynalazki hygieniczne wskazują jako najracyonalniejsze dla usunięcia przyczyn naturalnych wielu bolesnych stron społeczeństwa obecnego; przedewszystkiem zaś fizycznego i moralnego wycieńczenia kobiet przez nadmierne pologi i śmiertelności dzieci, a do złagodzenia w znacznym stopniu ubóstwa i prostytucyi.

Środki te, jako wymagające jedynie inicyatywy prywatnej, a okazujące natychmiast skutki swoje na polepszeniu dobrobytu, zdrowia i szczęścia rodziny, dają się łatwo przeprowadzić; wynikami zaś swymi widocznymi zachęcają do naśladownictwa, kiedy wszelkie reformy zasadnicze są rzeczą wymagającą czasu i walki, wskutek starcia się rozmaitych interesów, wskutek niewiary w nie ogółu, niechętnie porzucającego stare przesądy i zwyczaje dla prób nowych, a wydających się przeto niepewnemi. Nawyknienia

---

[1]) Nie wchodzi w zakres nasz obecny, wyliczanie tych środków; ktoby chciał się z nimi zapoznać bliżej, odsyłamy go do przytoczonych wyżej rozpraw. Z najnowszych zaś polecić możemy: H. Schröder *Die Vorbeugung der Empfängniss aus Ehenoth*, Max Spohr, Lipsk. Wyd. 8-me, 1901. — Cena 2 marki.

więc i obyczajność neo-maltuzyańska, powinny w naturalnym biegu rzeczy poprzedzać takie reformy, a widzieliśmy już, że pierwszeństwo owo jest również i wymagalnikiem racyonalnym.

Ktokolwiek zwiedzał ubogie dzielnice miast naszych; kto widział te gromady brudnych, zaniedbanych, wiecznie głodnych, często chorych i pokaleczonych dzieci, snujące się po ulicach, zapełniające chodniki, pozostawione bez dozoru — bo i ojciec i matka i starsze rodzeństwo zajęte jest przez cały dzień ciężką pracą; kto wchodził do suteryn zamieszkałych przez stróżów i inną ubogą ludność miast wielkich, a widział tam owe rodziny, liczące po sześcioro, ośmioro lub dziesięcioro dzieci, gnieżdżące się w jednym ciasnym, wilgotnym, nawpół ciemnym pokoju; kto przyglądał się tym dzieciom zaledwie okrytym łachmanami, brudnym, z powykrzywianemi nogami, z wyrazem przedwczesnej starości na bladej, wychudzonej twarzy; kto słyszał utyskiwania kobiet, narzekających, że całe życie ich upływa bądź na noszeniu dziecka w łonie, bądź na jego karmieniu piersią, że nigdy prawie nie bywają w stanie normalnym, pozwalającym oddać się pracy lub wychowaniu tych dzieci, które już mają, gdyż ustawicznie muszą mieć nowe; kto ze zgrozą widział po wsiach zobojętnienie matek na śmierć małych dzieci lub nawet radość z jej powodu; niekiedy dobrowolną pomoc naturze w tym względzie przez systematyczne zagładzanie lub pojenie makiem; kto słyszał utyskiwania ojców na koszta chrzcin, za któremi rychło następują jeszcze większe może koszta pogrzebów [1]); kto uprzytomni sobie od czasu do czasu ujawniane przez sądy kryminalne «fabryki aniołków» — ten łatwo zrozumie, jaką straszną klęską w społeczeństwie naszem jest nadmiar urodzeń. A wszakże tak łatwą jest do usunięcia drogą rozpowszechnienia racyonalnych wiadomości!

Tymczasem właśnie nieuctwo połączone z pruderyą skupia szczególny mrok na ten punkt tak doniosły. Nasze klasy inteligentne, t. j. te, które będąc lepiej uposażone, mogłyby wychować dzieci obdarzone i lepszymi zasobami dziedzicznymi i cechami nabytemi przez dobre warunki i racyonalne wychowanie, często uprawiają praktykę neo-maltuzyańską tak dalece, że wcale wy-

[1]) Widziałem włościanina, który skarżył się na to, że zrujnowany został doszczętnie przez koszta *ośmnastu* (!) pogrzebów dzieci swoich. Niech czytelnik wyobrazi sobie, jak oddziałać musiały te warunki na zdrowie matki!

rzekają się tej potrzeby duchowej. A obok tego nie tylko nic nie czyni się dla uświadomienia w tym kierunku ludności uboższej, która najwięcej tego potrzebuje, lecz pruderya posuwa się tak daleko, że niedawno mieliśmy sposobność czytać w pewnym nibyto postępowym dzienniku wyrazy oburzenia z powodu sprzedaży publicznej we Lwowie t. zw. «artykułów francuskich». Ależ środki neo-maltuzyańskie wystawiają się publicznie w wielu sklepach londyńskich i te wystawy są może lepszą drogą do rozpowszechużytecznych wiadomości, niż wszelkie broszury i odczyty. A jakiejż to kolosalnej ignorancyi dowody składa dziennikarz, który bierze je wyłącznie ze strony lekkomyślnie-rozpustnej; który się nie domyśla nawet, że poza tą, znaną każdemu żakowi stroną, ukrywa się inna, tająca głębokie zagadnienie społeczne, lekarstwo na ogromną klęskę, nie dostrzeganą jedynie dlatego, że patrząc, nie myślimy.

Zarzuty przeciwko neo-maltuzyanizmowi można ściągnąć do trzech. Pierwszym jest *etyczny*, upatrujący niemoralność w sztucznem zapobieganiu płodności. Zarzut ten najczęściej opiera się na ignorancyi; wynika mianowicie z pomieszania środków zapobiegawczych (zalecanych przez neo-maltuzyanizm) z pozytywnymi, t. j. represyjnymi, potępianymi przez doktrynę. W rzeczywistości, o ile wstrętną jest dla uczucia moralnego wszelka myśl o zniszczeniu, chociażby w najwcześniejszym zarodku, poczętego już życia, co też stanowi przedmiot surowej kary w kodeksie kryminalnym, o tyleż obojętnem ze stanowiska moralnego jest zapobieżenie powstaniu takich zawiązków, a staje się ono czynem moralnym, skoro z góry przewidzieć można, iż życie w ten sposób powstające, przeznaczone jest na przedwczesną zagładę lub spaczenie.

Zapobieganie bowiem zapomocą środków neo-maltuzyańskich jest równoznaczne ze stanem bezżennym; w obu wypadkach możliwość nie dopuszcza się do zrealizowania, z tą tylko różnicą, że stan bezżenny prowadzi do ruiny zdrowia fizycznego i moralnego, oraz do szeregu wad przeciwnych obyczajności.

Tu potrącamy już o drugi zarzut *hygieniczny*. Przeciwnicy neo-maltuzyanizmu zarzucają, iż środki zapobiegawcze są niekiedy szkodliwe dla zdrowia. Słusznem to jest w stosunku do niektórych sposobów, a dotyczy zwłaszcza tych, które są najbardziej rozpowszechnione, bo same się niejako nasuwają i używane są przez ogół, nie mający pojęcia o neo-maltuzyanizmie, jak np. włościanie

we Francyi. Hygiena zapobiegawcza czyni wszakże szybkie postępy i dziś już mamy do rozporządzenia cały szereg środków łatwych do użycia, niedrogich, a nie powodujących, jak się zdaje, żadnej ujmy dla zdrowia. Gdyby zresztą nawet dały się dostrzedz od czasu do czasu ujemne skutki, to nie dorównywają one w przybliżeniu nawet tej ruinie fizycznej, jaką wywołuje w organizmie kobiecym ciągle powtarzająca się ciąża i połogi, a w mężkim tak zwana «powściągliwość moralna».

Wreszcie zarzutem natury *statystycznej* nazwać można rozważanie, płynące z przestarzałych już pojęć o dobrobycie i potędze narodów, a upatrujących je w liczebnej przewadze. Mieliśmy już sposobność zaznaczyć, że zapatrywanie takie jest zgoła błędne; uważa bowiem jednostki składające naród nie za osoby, będące dla siebie celem, lecz za narzędzia do innych celów (jako materyał na żołnierzy, robotników, płatników podatków, konsumentów i t. p.). Pomijając wszakże tę stronę kwestyi, pomijając również i tę okoliczność, że o potędze narodu nie stanowi ilość, lecz jakość jego obywateli, a stając chwilowo na stanowisku tych, którzy zmniejszenie przyrostu ludności uważają za klęskę narodową, zaznaczyć winniśmy, że jakkolwiek w przyszłości, przy ulepszonych warunkach życia społecznego, neo-maltuzyanizm musi stać się narzędziem systematycznego regulowania przyrostu ludności dla zapobieżenia klęskom przeludnienia; dziś wszakże praktykowany jako środek ulżenia prywatnym warunkom bytu, zaledwie przyczyni się do zapobieżenia temu nadmiarowi urodzeń, które śmierć przedwczesna i bez tego zmiata; że więc wpłynie w bardzo małym stopniu, lub wcale nie wpłynie na zmniejszenie przyrostu ludności.

NOWE POGLĄDY NA POWSTAWANIE GATUNKÓW.
(TEORYA MUTACYJNA DE VRIES'A).

(Dokończenie).

Niektórzy biologowie, jak Kerner i Weisman w rozmnażaniu płciowem, polegającem, jak wiemy, na zmieszaniu dwóch rodzajów protoplazmy: mężkiej i żeńskiej, widzą bardzo ważny czynnik powstawania nowych postaci organicznych. Istotnie, dziecko nie jest identyczne ani z ojcem, ani z matką, a przedstawia do

pewnego stopnia typ zupełnie odmienny. Powszechnie zaś wiadomo, że przez hybrydacyę, t. j. krzyżowanie osobników różnych odmian lub gatunków, możemy otrzymać nowe postacie, jak to wskazują doświadczenia hodowców. Lecz co do pierwszego brak dotąd dowodów niezbitych na korzyść przypuszczenia, że rozmnażanie płciowe należy uważać za źródło zmienności, nie zaś raczej, jak chcą niektórzy, za proces, którego zadaniem jest wyrównanie w potomstwie zbyt wielkich różnic objawiających się u rodziców. Zresztą rozmnażanie płciowe u wielu niższych organizmów niema wcale miejsca, u innych znowu występuje niestale. Co się zaś tyczy procesów hybrydacyi, to po pierwsze, mieszańce, jak wiadomo, odznaczają się bezpłodnością, lub też stopniowo, jak to wskazują badania Mendela i Corrensa, powracają do postaci pierwotnych. A więc hybrydacya, podobnież jak zboczenia indywidualne, tylko w niewielu wypadkach może dać początek nowym odmianom lub gatunkom.

Słowem, oba te czynniki, chociaż bez wątpienia mają pewien udział w wytwarzaniu nowych postaci, nie wystarczają żadną miarą do wytłumaczenia wielkiej zagadki powstania całego świata organicznego.

W najnowszych czasach zwrócono baczną uwagę [1]) na t. zw. *mutacye* czyli sprawy heterogenetyczne, jako na jeden z czynników, mogących nam do pewnego stopnia wyświetlić całą sprawę powstawania gatunków. Zjawisko mutacyi znane oddawna hodowcom, dla których przedstawiało szczęśliwą sposobność otrzymania nowych odmian, polega na nagłem pojawianiu się wśród zupełnie jednakowego potomstwa, u niektórych osobników cech nowych. Mamy tu zatem nowy rodzaj zboczeń indywidualnych, różniących się od zboczeń zwykłych tem, że występują odrazu bardzo wybitnie. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie, że osobnik, który przyniósł na świat takie cechy mutacyjne, może przekazać je w całej pełni swemu potomstwu, słowem, że cechy te będą odziedziczać się stale w pokoleniach następnych, to otrzymamy odrazu bez wszelkich form przejściowych gotową odmianę lub nawet gatunek. Naturalnie musimy przyjąć, że nowe cechy te będą dla osobników korzystne w zapasach życiowych. Wytworzony w ten sposób nowy gatunek może również drogą zmienności samorzutnej dać początek nowym postaciom, jeszcze bardziej różniącym się od pierwo-

---

[1]) Kerner, Korczinskij, Delage, a poprzednio już Kölliker.

tnego typu. W ten sposób każdy okres mutacyjny zwiększy liczbę gatunków, przyczem gatunki te powstają odrazu. Jeżeli zaś przyjmiemy, że okresy mutacyjne w rodowym rozwoju organizmów trafiają się wogóle bardzo rzadko, że jeden okres mutacyjny od drugiego przedzielają tysiące lat, w ciągu których gatunek ulegać będzie jedynie zboczeniom indywidualnym oraz wpływom otoczenia, łatwo będziemy mogli pogodzić sam fakt postępu organizmów z niewzruszoną do pewnego stopnia stałością ich cech.

Do najnowszych czasów teorya ta mogła zwać się co najwyżej prawdopodobnem przypuszczeniem, albowiem brakowało jej faktycznych podstaw. Nikt nie obserwował bezpośrednio powstawania nowych postaci drogą mutacyi; wskazówki zaś odnośne hodowców zbyt były bałamutne, zbyt często podyktowane przez reklamę, by można im było przypisywać znaczenie naukowe. To też natrafić na gatunek roślin lub zwierząt, znajdujący się w stadyum mutacyi, t. j. nagłego wytwarzania nowych gatunków, znaczyło dać całej teoryi podstawę opierającą się na bezpośredniej obserwacyi. Zadanie to rozwiązał szczęśliwie w zastosowaniu do państwa roślinnego Hugo de Vries [1]), profesor botaniki na uniwersytecie w Amsterdamie. Po długich i bezowocnych próbach nad rozmaitymi gatunkami roślin, udało mu się w końcu znaleźć gatunek znajdujący się w stadyum mutacyi. Jest nim *Wiesiołek Lamarka (Oenothera Lamarckiana)* — roślina dwuletnia, dosięgająca wysokości człowieka, o liściach lancetowatych, kwiatach żółtych, w kłos okazały zebranych.

Gatunek ten, rosnący dziko w okolicy Amsterdamu, posiada zadziwiającą skłonność wytwarzania coraz to nowych postaci. Wśród znacznej ilości zupełnie jednakowych osobników, można było, czy to w stanie dzikim, czy w hodowli napotkać zawsze pewną liczbę okazów, wyróżniających się jakąś cechą niezwykłą, np. postacią liści, wielkim lub drobnym wzrostem, większymi kwiatami i t. p. Niektóre z tych nowych postaci przychodziły na świat tak źle przystosowane do walki o byt, że tylko przy troskliwem pielęgnowaniu można było doprowadzić je do wydawania nasion; inne znowu odrazu bez żadnej opieki rosły i mnożyły się pomyśl-

---

[1]) H. de Vries: *Mutationstheorie; Versuche und Beobachtungen über die Entstehung von Arten im Pflanzenreich* I tom., *Entstehung der Arten durch Mutation*, Lipsk, 1901 (w roku przyszłym ukazać się ma tom 2-gi traktujący o hybrydacyi). — Ob. także jegoż: *Mutationen und Mutationsperioden, Ein Vortrag*, Lipsk, 1901.

nie. W każdem następnem pokoleniu otrzymywał de Vries pewną ilość nowych osobników, bądź to zupełnie dotąd niewidzianych, bądź też napotykanych już w latach poprzednich. Liczba ich jednak zawsze była nieznaczną w porównaniu z liczbą osobników przeciętnego typu. Tak po wysianiu 15.000 ziarn otrzymał de Vries w r. 1889 tylko 5 osobników nowego gatunku, nazwanego przez niego z powodu swych szerokich liści *(Oen. lata)* i tyleż osobników wyróżniających się bardzo nizkim wzrostem, *(Oen. nanella)*. Pozostałe okazy nie różniły się od gatunku macierzystego. Następne pokolenie wydało w r. 1891 na 10.000 wysianych nasion tylko 6 odmiennych okazów, z których trzy należały do poprzednio otrzymanego gatunku, *Oen. lata*, dwa do *Oen. nanella*, a tylko jeden przedstawiał nową postać, wyróżniającą się prócz innych oznak jeszcze czerwonawem ubarwieniem nerwów liściowych *(Oen. rubrinervis)*. W r. 1895 z wysianych 14.000 nasion macierzystego gatunku otrzymał de Vries prócz odmian znanych z poprzednich doświadczeń jeszcze trzy nowe postacie: *Oen. albida* (15 okazów), *Oen. oblonga* (176 egzemplarzy) i *Oen. scintillana* jeden okaz. Od tego czasu, pomimo corocznego wysiewania Oen. Lamarckiana w ilości wielu tysięcy ziarn, nowe gatunki, prócz znanych już z lat poprzednich, nie pojawiały się wcale. Poprzednio zaś otrzymane ukazywały się niekiedy w znacznej liczbie okazów. Tak w r. 1896 *Oen. lata* zjawiła się w liczbie 142, *Oen. oblonga* w liczbie 135 okazów. Nowo otrzymane gatunki wiesiołka wyróżniają się przedewszystkiem stałością swych cech. Po zabezpieczeniu ich od wzajemnego krzyżowania, gatunki te wydają potomstwo zupełnie do siebie podobne w najdrobniejszych szczegółach. Tak nasiona *Oen. lata* obok gatunku macierzystego, *Oen. Lamarckiana*, wydawały zawsze pewną ilość osobników tegoż gatunku *(Oen. lata)*, to samo odnosi się do potomstwa *Oen. gigas*, *rubrinervis etc.* Mamy tu zatem do czynienia z prawdziwymi gatunkami, które, o ile warunki zewnętrzne sprzyjać będą ich mnożeniu się, wzbogacą z czasem naszę florę europejską.

Musimy tutaj zaznaczyć bardzo ważny fakt, że nie wszystkie powstałe gatunki z *Oen. Lamarckiana* wyróżniają się wybitnemi cechami. Niektóre z nich rzeczywiście posiadają cechy rzucające się w oczy; można je porównać zatem z łatwymi do rozpoznania gatunkami Linneusza. U innych różnice występują dość słabo i potrzeba ścisłego badania, aby je dostrzedz. Przypominają więc drobne gatunki, wykryte przez Jordana i innych botaników w obrę-

bie gatunków linneuszowskich, o czem wspominaliśmy poprzednio. Słowem w doświadczeniach de Vriesa mamy to, czego zawsze domagali się, chociaż bezskutecznie, przeciwnicy teoryi zmienności od jej zwolenników. Mamy uchwycony na gorącym uczynku proces tworzenia się nowych gatunków. Widzimy nagłe zjawienie się postaci nowych obok postaci macierzystych. Natura, jakby znudzona jednostajnością pokoleń, probuje sił swoich w nowym kierunku, powołując do życia odmienne postacie. Nowe gatunki zjawiają się odrazu gotowe, opatrzone nowemi, przekazywanemi z pokolenia na pokolenie, cechami. W ten więc sposób zwiększa się odrazu rozmaitość żyjących postaci. Los nowo powstających gatunków, zależy od korzyści lub szkody, jaką im mogą przynieść w walce o byt nowe cechy. Jeżeli są korzystne, wówczas nowy gatunek szybko wypiera macierzysty z jego stanowisk, zagarniając coraz szersze obszary pod swe panowanie. Staje się on wówczas stałym nabytkiem flory, a drogą mutacyi może z czasem dać znowu początek innym gatunkom. Jeżeli zaś nowe cechy okazują się zgubnemi, wówczas nowy gatunek ginie szybko i bezpowrotnie.

Jeżeli cechy nowe zbyt są mało wybitne, aby mogły odrazu zaważyć na szali walki o byt, wówczas albo nowy gatunek przystosowuje się powoli do warunków, przez co wzrasta podobieństwo jego do gatunku pierwotnego i mnoży się liczba gatunków trudnych do ujęcia; lub też zamiera on powoli. Zamieranie to może trwać przez całe stulecia lub tysiącolecia, dopóki ostatnie niedobitki nie znikną z powierzchni ziemi. Lecz może się zdarzyć, że w przeznaczonym na zagładę gatunku, znowu świeże obudzi się życie, że wstąpi on w stadyum mutacyi. Wśród pierwotnych typów zjawią się wtedy inne, nowe, a obdarzone korzystniejszemi cechami, a zadaniem ich będzie przechować życie gatunku, chociaż w nieco zmienionej formie.

Tak więc na zasadzie doświadczeń z *Oen. Lamarckianu* możemy wnosić, że powstawanie nowych gatunków odbywa się w naturze nie zawsze drogą powolnych przemia, lecz powstają one niekiedy, nagle «wybuchowo», jak się malowniczo wyraża de Vries. Jednolity dotąd gatunek rozpada się wtedy na wielką liczbę nowych, które, o ile okażą się przystosowanymi do warunków zewnętrznych, zwiększą różnorodność postaci. Różnorodność ta będzie wzrastać z każdym okresem mutacyi. W ten więc sposób, jeżeli wystawimy sobie, że od czasu, gdy życie zarodziło się na

kuli ziemskiej, mutacye powtarzały się w pewnych odstępach czasu, możemy łatwo wytłumaczyć całą rozmaitość teraźniejszych i wymarłych istot.

Zrozumiemy wtedy również przy nagłem powstawaniu nowych postaci brak zupełny ogniw przejściowych między gatunkami, oraz względną stałość ich cech w obrębie dwóch bezpośrednio następujących po sobie okresów mutacyjnych.

Przyjmując wybuchowe powstawanie gatunków, nie wyłączamy wcale działania doboru przyrodniczego; ograniczamy jedynie znaczenie jego do granic właściwych. Dobór przyrodniczy będzie tu pełnił rolę jedynie czynnika decydującego o utrzymaniu się w walce o byt gatunków z pośród wielu, zbudzonych do życia przez procesy mutacyjne.

Prawdziwa zaś przyczyna powstawania gatunków tkwić będzie nie w warunkach zewnętrznych, lecz w samych organizmach, w ich protoplazmie twórczej, która nie tylko utrzymuje ciągłość życia w nierozerwalnym łańcuch pokoleń za pomocą procesów rozrodczych, lecz która sama od czasu do czasu rozpromienia się nagle w nowe blaski twórczości, wytwarzając nowe postacie.

Z wielkiem prawdopodobieństwem przypuścić możemy, że procesy heterogenetyczne odbywają się stale w kierunku postępu ogarniającego wraz z człowiekiem całą przyrodę ustrojową. Postęp jest prawem rozwoju! Wprawdzie w naturze nie brak przykładów zaniku organów, zarówno u roślin, jak i u zwierząt. W porównaniu z całością świata organicznego, są to jednak znikająco drobne wyjątki. Przytem prawie zawsze możemy dowieść, że objawy uwstecznienia następują nie wskutek procesów twórczych, lecz z powodu warunków zewnętrznych, czyniących dany organ lub właściwość zbyteczną.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach teorya de Vries'a. Oczywiście, że przyjmując mutacyą, jako główny czynnik powstawania gatunków, nie utrzymuje on, jakoby inne czynniki (dobór przyrodniczy, hybrydacya) nie miały żadnego znaczenia. W każdym razie procesy mutacyjne w rozwoju świata organicznego mają, według de Vries'a, pierwszorzędne znaczenie.

Winniśmy jeszcze zwrócić uwagę czytelnika na jednę okoliczność, przemawiającą na korzyść teoryi de Vries'a Oto przyjmując, według Darwina, powstawanie cech gatunkowych przez nagromadzanie się w ciągu wielu pokoleń początkowo bardzo nieznacznych różnic indywidualnych, przyznać musimy, że potęgo-

wanie to powinno odbywać się z niesłychaną powolnością, przechodzącą wszelkie nasze pojęcia, skoro całe tysiącolecia nie wystarczają na wywołanie w organizmie zmian, chociażby tylko przez mikroskop dostrzegalnych. Przynajmniej szczątki wielu roślin tak doskonale zachowały się w grobowcach egipskich, że można było studyować nie tylko ich postać zewnętrzną, ale nawet budowę anatomiczną, zaś badanie takie nie zdołało wykryć jakiejkolwiek różnicy w budowie między staroegipską a teraźniejszą florą. Jeżeli zatem rozwój organizmów od czasu powstania życia miałby odbywać się tak powoli, to nie tylko milionów, ale miliardów lat nie starczyłoby dla wytworzenia wyższych organizmów z niższych. A tymczasem wszystkie dane geologów i fizyków zgadzają się na to, że okres czasu, jaki upłynął od ustalenia się skorupy ziemskiej aż do naszych dni, może być z pewnem przybliżeniem oznaczony, jako wynoszący kilka dziesiątków milionów lat. Podobnej sprzeczności z wynikami fizyki i geologii unikniemy, skoro przypuścimy, że rozwój świata organicznego nie był ciągłym, ale odbywał się jakby skokami, czyli inaczej, że okresy energicznego tworzenia się nowych gatunków, poprzedzielane były okresami spoczynku.

W każdym okresie mutacyi dany gatunek zbliżał się coraz bardziej do obecnego stanu. Innemi słowy każdy okres mutacyi był dla niego krokiem na drodze postępu. Jeżeli więc przypuścimy, że przeciętnie na każdy okres mutacyi przypada wytworzenie się jednej właściwości, to możemy powiedzieć, że ilość wszystkich wogóle właściwości, cechująca dany gatunek, odpowiadać będzie ilości okresów mutacyjnych, jakie przebył on na drodze ewolucyi od najniższych jednokomorkowców do obecnego stanu; gdybyśmy więc wiedzieli, ile właściwości posiada dany gatunek, moglibyśmy przez to samo powiedzieć, ile etapów przejściowych zawiera historya jego rozwoju. Lecz jak obliczyć ilość właściwości, charakteryzujących jakikolwiek gatunek rośliny kwiatowej? Zadanie wydaje się zupełnie niemożliwem do rozwiązania wobec olbrzymiej ilości gatunków roślin i ich cech. Wszakże ogromne te liczby ulegają znacznemu ograniczeniu, musimy bowiem pamiętać, że różnice pomiędzy gatunkami polegają nie tylko na cechach odmiennych, ale i na rozmaitem połączeniu cech wspólnych całym grupom roślin. Jedne i te same cechy bowiem, n. p. suche i soczyste owoce, ułożenie kwiatów w postaci baldaszka lub koszyczka, wąsy, wijące się pędy, napotykamy jednocześnie w najrozmaitszych ga-

tunkach roślin. Nie potrzebujemy dalej przypuszczać, aby każda cecha potrzebowała dla swego wytworzenia osobnego okresu mutacyjnego, a nawet obserwacye de Vries'a nad mutacyą *Oen. Lamarckiana* przeczą temu stanowczo. Istotnie nowe gatunki wiesiołka np. *Oen. lata*, *Oen. nanella*, otrzymane z *Oen. Lamarckiana*, różnią się od niego niejedną cechą, lecz całym ich szeregiem. Każdy więc okres mutacyi daje początek całym grupom cech. Taki zbiór cech, często nie nowych, lecz ugrupowanych odmiennie, musi stanowić nierozdzielną całość, skoro we wszystkich pokoleniach danego gatunku występuje bez żadnej zmiany. Nasze cechy systematyczne, to tylko składowe elementy takiej całości, którą nazwiemy właściwością gatunkową. Bliższe określenie tej właściwości przez zbadanie praw, według których one powstają z cech, dostępnych naszej obserwacy, będzie zadaniem przyszłej morfologii. Obecnie możemy tylko zaznaczyć, że właściwości te stanowią istotę gatunku, i że liczba ich będzie bez porównania mniejszą od cech właściwych danemu gatunkowi. Nie oddalając się zbytnio od prawdy, możemy liczbę właściwości każdego gatunku szacować na kilka tysięcy. Naturalnie, że gatunki niższych roślin i zwierząt mają ich mniej.

Zobaczmy teraz, czy za pomocą danych zaczerpniętych z innych źródeł, co do czasu trwania życia na ziemi, nie uda nam się nieco dokładniej oznaczyć ilość właściwości jakiegokolwiek wyższego gatunku. Liczba ta, jak wiemy, odpowiada ilości okresów mutacyjnych, które przebył dany gatunek w ciągu swego rozwoju. Oznaczmy ją przez L, przeciąg zaś czasu między dwoma następującymi po sobie okresami mutacyi przez M. Oczywiście, że iloczyn $L \times M$, przedstawiać będzie czas trwania wogóle życia na ziemi, czyli t. zw. czas biochroniczny (B). Mamy zatem zrównanie: $L \times M = B$. Jest to wszakże zrównanie o 3-ch niewiadomych. Ale sprobujemy choć w przybliżeniu je oznaczyć. Co do czasu biochronicznego, to przybliżoną jego wartość dają obliczenia fizyków i geologów. Tak Jerzy Darwin dochodzi do wniosku, że od czasu oddzielenia się księżyca od ziemi, musiało upłynąć co najmniej 50 milionów lat. Naturalnie, że ustalenie się skorupy ziemskiej nastąpiło znacznie później. Rzeczywisty wiek jej Jerzy Darwin, na zasadzie podnoszenia się temperatury w miarę zagłębiania się w ziemi, szacuje na 40 milionów lat. Dubois zaś, grubość najstarszych pokładów wapna, utworzonych ze skorupek otwornic oblicza co najwyżej na 36 milionów lat. Z drugiej strony

lord Kelwin, z uwzględnieniem wszelkich ostrożności, oblicza czas biochroniczny na 24 miliony lat. Widzimy, że liczby te wyprowadzone różnemi drogami są dosyć zgodne. Przyjmując liczbę Kelwina, otrzymamy: $L \times M = 24{,}000.000$ lat.

Sprobójmy teraz znaleźć przybliżoną wartość M. Już wspominaliśmy poprzednio, że pozostałości roślin, znalezionych w piramidach egipskich, uczą nas, jako flora tamtejsza w ciągu co najmniej 4.000 lat nie uległa zmianie. Do podobnego wniosku prowadzą nasiona i owoce, znalezione w budowlach nawodnych Szwajcaryi, wizerunki roślin na monetach starogreckich i rzymskich, oraz rzadkość grup bogatych w drobne gatunki w porównaniu ze zwykłym typem europejskiej flory. A zatem możemy, zgodnie z naszem doświadczeniem, przypuścić, że co najmniej w ciągu 4.000 lat nasza flora żadnej nie uległa zmianie, czyli, że wartość M co najmniej tyleż lat wynosi. Mamy więc $L \times 4.000 = 24$ milion. czyli $L = 24$ milion./4.000 = 6.000.

Około 6.000 mutacyi przeciętnie więc przebyć musiał każdy wyższy gatunek, zanim doszedł do obecnego stopnia rozwoju. Naturalnie wszystkie te liczby przedstawiają tylko grube przybliżenie, na jakie stać obecnie. Mogą one stanowić jednak podstawę dla przyszłych podobnych obliczeń, a zarazem wskazują, że tego rodzaju pytania nie znajdują się poza granicami wiedzy, i że z postępem jej coraz bliżsi będziemy ich rozwiązania.

Józef Trzebiński.

ETYKA W STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH.

Mieliśmy sposobność wytknąć w ostatnim zeszycie pisma naszego pewien objaw powrotu do ciemnych instynktów sobkostwa i ciasnoty poglądów cechujących przeważnie minione już przez ludzkość w jej szczytowych warstwach fazy rozwoju; apologią tych instynktów i poglądów, pokutujących jeszcze w duszach nawpół kulturalnych lub całkiem niekulturalnych. Obecnie pragnęlibyśmy zaznajomić czytelników naszych z kilku objawami zupełnie przeciwnemi, objawami coraz to mnożącemi się wśród myślących warstw narodów, należących do zachodniej cywilizacyi, tak dalece, iż zdaje się, niebawem nadadzą piętno wybitne całemu okresowi rozwoju, rozpoczynającego się u wnijścia do

XX stulecia. Kierunek ten można scharakteryzować jako dążenie do *umoralnienia stosunków międzynarodowych*.

Idea ta ma dwa źródła. Jedno idealne — jest nim tkwiące odwiecznie w duchu ludzkim dążenie do wytworzenia lepszych, bardziej ludzkich stosunków życia wspólnego łącznie, z naturalnem pragnieniem, rozszerzenia tych stosunków na coraz to szersze koła, pragnieniem, którego znamiennym wyrazem była idea kosmopolityczna, zawarta w chrześcijaństwie, a obejmująca wszystkich ludzi, jako braci i bliźnich. Drugiem źródlem jest potrzeba realna, coraz bardziej nagląca — wyzwolenia z klęski, jaką jest ciężar niezmierny militaryzmu, coraz to rosnący, a przygniatający życie ekonomiczne i moralne narodów, chłonący jak olbrzymi pasożyt najlepsze ich soki.

Każda wielka reforma w dziejach ludzkości wynika zwykle ze współudziału dwóch czynników: idealnego dążenia i realnej potrzeby. Pierwsze, dopóki nie ma punktu oparcia w ostatniej, unosi się w obłocznych wyżynach, porywa za sobą lepsze jednostki, staje się ich bólem i tęsknotą, rodzi bohaterów, wytwarza utopie, lecz nie może poruszyć ciężkiej, bezwładnej rzeczywistości. Przeciwnie, potrzeby realne zaczynają od bojaźliwych, niepewnych prób myśli, czy nie dałoby się coś naprawić w stających się już naprawdę nieznośnemi stosunkach. Próby te są przyziemne, pozbawione polotu i idei ogólnej; idą po omacku, jak symptomatyczne leczenie pierwotnej medycyny, nie rozumiejącej jeszcze istoty choroby. Ale oto następuje chwila, gdy pomiędzy obu czynnikami zaczyna się zbliżenie: idealne popędy zaczynają coraz bardziej schodzić z obłoków, aby przyjrzeć się temu, co się dzieje na ziemi; a ci co się dotąd naśmiewali z utopistów i marzycieli, zaczynają czuć, że te marzenia mają jakieś pokrewieństwo z ich troską i bólem. Zaczyna się stopniowo porozumienie, a gdy dochodzi do niego, ideał, z obciętemi wprawdzie znacznie skrzydłami, znajduje urzeczywistnienie na ziemi.

Marzycielami w kierunku, o którym mowa, były wielkie duchy twórcze, a utopią ich — *wieczny pokój wśród narodów.* Ideałowi temu hołdowali mocarze, jak Jerzy Podibradzki, król czeski i Henryk IV, król francuski; myśliciele, jak Kant i Rousseau, pisarze, jak Bernardin de St. Pierre.

W wieku XIX konsekwentnie przeprowadzała myśl tę *szkoła pozytywistów*, wychodząc z założenia, że *narody są osobnikami ludzkości.* Nikt też może nie akcentował tak wyraźnie idei sprawiedli-

wości w stosunkach międzynarodowych, nikt tak śmiało nie występował z protestacyami w imię tej zasady wobec szowinizmu ciemnych mas i przesądów własnej narodowości, jak pozytywiści angielscy, podczas niesprawiedliwej wojny w Afryce południowej.

Zapatrywanie się na narody, jako na osobniki w wielkiej rodzinie ludzkości, pociąga za sobą myśl, którą znajdujemy naszkicowaną wprawdzie dosyć pobieżnie w rozprawce p. t.: *La Pologne et la paix générale* przez J. d'Outremer. Autor jej przeprowadza analogią między rozwojem prawa politycznego a prawa międzynarodowego, wykazując, że drugie przechodzi przez te same fazy rozwojowe, co i pierwsze, tylko osiąga je znacznie później. Bezgraniczna samowola ustępuje w stosunkach międzynarodowych stopniowo miejsce pewnym zasadom kierowniczym. W wiekach dawniejszych zasadą tą staje się «równowaga europejska»; w XIX wieku zaczyna przeważać zasada narodowości. Wszak niema jeszcze stu lat od czasu, kiedy żaden statek handlowy na otwartem morzu nie był bezpieczny! Ale dalszy rozwój obecnie czynnej zasady musi doprowadzić do uznania równych praw wszystkich narodowości, niezależnie od ich potęgi, bogactwa, liczby lub stopnia kultury, jak to się dzieje w stosunku do pojedynczych obywateli jednego państwa. Z drugiej strony rozszerzenie zasady dzisiejszego prawa publicznego, według której jednostka wolna jest sama obierać sobie miejsce zamieszkania i ojczyznę, stać się może miernikiem przy ocenie granic narodowości, zgodnie z tą zasadą, że o należności do pewnej narodowości nie stanowi żadna z cech zewnętrznych, lecz przedewszystkiem świadomość i wola osobnika [1]).

Jednym z objawów wymienionego prądu idealistycznego jest także stowarzyszenie *Union patriotique de France pour la pacification de l'Europe et le désarmement*, założonego pod hasłem pozytywistycznem «Ordre et progrès».

Bardzo znamienne jest określenie patryotyzmu, stanowiące pierwszy punkt zasad tego związku:

«Prawdziwy patryotyzm polega na utrzymaniu naszego kraju i na usiłowaniach ku jego postępowi, *bez szkody dla dobrobytu ogólnego rodzaju ludzkiego, a przy rozwoju stosunków przyjaznych i pokojowych z innymi narodami.*

---

[1]) Ob. Nowikow: *Co to jest narodowość?* (rozbiór w «Poglądzie na świat», Nr. 11—12, r. 1900).

Podkreśliliśmy ten moment doniosły w określeniu patryotyzmu, który, jak już zaznaczyliśmy w poprzednim artykule [1]), wyróżnia go od szowinizmu. W uwadze do tej zasady czytamy: «Prawdziwym więc pożądaniem patryotyzmu współczesnego nie może być powiększenie swego kraju, lecz jedynie jego udoskonalenie ze stanowiska materyalnego, zarówno jak intelektualnego, estetycznego i moralnego. Punkt drugi, dotyczący «bezpieczeństwa narodowego», tak jest sformułowany: «Bezpieczeństwo każdej narodowości powinno być oparte na stanowczem unikaniu wszelkiej polityki napastniczej lub drażniącej w stosunku do innych mocarstw, nie zaś na ustawicznym wzroście uzbrojeń, który może być uważany za prowokacyą». Punkt trzeci, oraz następujące mają związek z grozą przejmującymi wypadkami ostatniego najazdu Europy na Chiny: «Żadna narodowość nie powinna czynić zamachu na niepodległość innych, ani dotykać ich posiadłości, ani mieszać się w ich politykę wewnętrzną w celach propagandy religijnej, badań naukowych, rozszerzenia handlu lub dla jakichkolwiek innych powodów». Punkt czwarty: «Ci, którzy dają pożyczki obcym rządom, powinni to czynić na własną odpowiedzialność» i t. d.

W odczycie swoim *Sur le vrai patriotisme de demain* p. Edger, sekretarz związku, wykazuje, ile każdy naród, a w jeszcze większym stopniu, każda jednostka zawdzięcza Ludzkości (pojętej w znaczeniu comte'owskiem); następnie zaś tak przemawia: «często wyobrażają sobie, jakoby pojęcie Ludzkości, będąc wyższe od pojęcia ojczyzny, przez to samo już miało burzyć patryotyzm. Jest to błąd równy temu, jakim byłoby przypuszczenie, iż ojczyzna musi zburzyć rodzinę, dlatego, że jest wyższą od niej. Jedynym warunkiem niezbędnym dla ich istnienia wzajemnego jest zachowanie ich nieuniknionego podporządkowania hierarchicznego. Jak bowiem istnienie normalne rodziny wymaga poddania się każdego z jej członków interesowi ogólnemu tej najelementarniejszej gromady, tak interes własny każdej rodziny powinien się poddawać ogólniejszym i podnioślejszym interesom ojczyzny. Tak wreszcie interes ojczyzny powinien podporządkować się pod istotę najwyższą, której stanowi część. Rodzina i ojczyzna stają się w ten sposób pełnomocnikami Ludzkości; przez ich bowiem pośrednictwo otrzymujemy cywilizacyą, oraz inne dobrodziejstwa, które zawdzięczamy Wielkiej Istocie (Ludzkości)» (str. 8—9). «Nie należy

[1]) «Pogląd na świat» za wrzesień, str. 311.

przedewszystkiem — czytamy dalej — mieszać uprawnionej miłości dla ojczyzny z egoizmem narodowym, który jest jej przeciwnością» (str. 9). «Egoizm narodowy, zwany także szowinizmem, prowadzi prawie zawsze do uczuć dzikich i ślepych, których konsekwencyą naturalną jest rzeź powszechna, gdy przeciwnie prawdziwy patryotyzm prowadzi z konieczności do pokoju i zgody» (str. 14).

Te kilka myśli charakteryzują dostatecznie szlachetne dążenia Związku, będące dziś dążeniami wogóle wszystkich postępowych żywiołów w rozmaitych narodowościach.

Objawem bardzo już daleko posuniętego idealizmu jest od czasu do czasu ukazujące się drobne pisemko angielkie p. t.: *Suggestions, an Occasional Advertiser*, wydawane przez p. Arthura St. John'a. Zasadniczą myślą jego jest ta, że ludzie czynią wiele złego przez to, że sprzedają i kupują wszystko. Podstawą wymiany usług powinno być ich ofiarowanie «z dobrą wolą i wzajemnem zaufaniem» *(in good will and mutual confidence)*. Wydawcy stosują tę metodę do swego wydawnictwa, rozsyłając je bezpłatnie. Zasadę tę stosują i do spraw międzynarodowych. Tak w Nrze 2 czytamy z powodu pokoju z boerami: «Tymczasem biedni boerowie złożyli broń i uznali lub twierdzą, iż uznali króla Edwarda za prawnego pana swego. I to się nazywa zawarciem pokoju! Jak gdyby pokój mógł zostać skutkiem przymusu lub gwałtu. Z pewnością pokój nie może być zabezpieczony, dopóki ludzie nie porzucą chęci narzucania woli swojej jedni drugim, oraz myśli, jakoby mogli osiągnąć jakąś korzyść własną kosztem czyimś. Gdy wszyscy pracować będziemy, pomagając sobie wzajemnie i zapobiegając potrzebom, gdy wszyscy zajęci będziemy użytecznie i usiłowania skierujemy ku dobru ogólnemu, wtedy dopiero będzie pokój» [1]).

Do objawów z bardziej realistycznego stanowiska wychodzących, często nieśmiałych, a liczących się z rzeczywistością, należą liczne stowarzyszenia i ligi pokojowe, związki międzyparlamentarne i t. d. Przybył do nich świeżo nowy pod nazwą *The International Union*, założony w Londynie w r. 1900. Jakkolwiek stoi on w wielu względach na *status quo* (tak np. przyjmują się do związku tylko te grupy narodowe, które mają reprezentacyą

---

[1]) Zestawić to należy ze *Szkicami z nikąd* W. Morris'a, które autor ich słusznie nazwał obrazem «okresu spoczynku i pokoju».

dyplomatyczną (art. IV), a wyjątek robi się jedynie dla Norwegii i Węgier, z których pierwsza ma wspólną ze Szwecyą, druga z Austryą reprezentacyą); wszelako usiłuje, jak wygłasza I artykuł, «zapewnić panowanie prawdy i obronę prawa w kwestyach międzynarodowych», a w ten sposób «przyczynić się do stopniowego przeniknięcia i przewagi zasad moralności do polityki rządów». W odezwie zaś jego czytamy:

«Pokój i postęp społeczeństwa ludzkiego, oraz dobrobyt ogółu ludzkości zagrożony jest przez obecnie panującą dążność do aroganckiego lub nieumiarkowanego akcentowania interesów narodów lub rządów».

«Jako środek przeciwdziałania temu, niezbędne jest stanowcze akcentowanie wyższości interesów wspólnych całemu Ogółowi Międzynarodowemu».

Mówimy tylko o najświeższych objawach myśli i czynu w tym kierunku, bo gdybyśmy chcieli uwzględniać te, które istnieją oddawna, należałoby zaszczytne miejsce wśród nich dać instytucyi *Sądu Polubownego Międzynarodowego.* Instytucya ta przyniosła nie mało owoców, zażegnała nie mało waśni międzynarodowych, a jednym z ostatnich objawów jej czynności jest załatwienie sprawy Morskiego Oka. Dalej należałoby nadmienić i «Stowarzyszenie dla poparcia sądów polubownych i pokoju» («Union for the arbitration and peace»), pracujące nad tem, aby rozwiązanie wszelkich zatargów międzynarodowych oddać w ręce sądów polubownych

Wszystkie te, coraz to mnożące się objawy, do których dołączyć wypada i zapis Nobl'a, oraz założenie czasopism, jak *L'Européen,* mających na celu szerzenie idei sprawiedliwości i obronę mniejszych narodowości, świadczą dostatecznie, w jakim kierunku kroczy myśl postępowa współczesna. Jest więc zadaniem wysoce niewdzięcznem, a nie wróżącem nawet wielkiego powodzenia, odnawianie przestarzałych przesądów, budzenie egoizmu i nienawiści, pomieszanie pojęć patryotyzmu z szowinizmem, nadawanie aktualności tym smutnym kartom w dziejach ludzkości, nad któremi należałoby jak najprędzej zarzucić welon zapomnienia.

PRZYCZYNKI DO SŁOWNICTWA FILOZOFICZNEGO.

Badanie — czynność zdążająca do wykrycia prawdy. «Łącznikiem pomiędzy poczuciem niewiadomości, jako punktem wyjścia samodzielnego poznania rzeczy, a zbliżeniem się do urzeczywistnienia ideału prawdy — jest *badanie*, dające się najkrócej określić, jako szukanie odpowiedzi na dręczące umysł *pytania*» (H. Struve *Wstęp)*. — Hoene Wroński nazywa czynność pytającą, stanowiącą punkt wyjścia każdego badania, *la faculté du pourquoi*. «Prudens quaestio quasi dimidium scientiae» (Bacon).

Badawcza dążność umysłu jest «chęcią możliwie gruntownego wniknięcia w składniki filozoficznych poglądów na świat, w ich zasady i przyczyny». Jest to «uzdolnienie *krytyczne*, ponieważ wyraża się w działalności rozbiorowej umysłu, nie poprzestaje na bezpośrednich danych tradycyjnego lub sztucznie wytworzonego poglądu na rzeczy, lecz domaga się usprawiedliwienia wszelkich poglądów na podstawie odpowiednio uzasadnionych dowodów» (H. Struve *Wstęp)*.

Bezwładność *(inertia)* własność każdego ciała pozostawania w tym stanie spoczynku lub ruchu, jaki mu nadany został. Innemi słowy, żadne ciało nie może samo z siebie (bez udziału siły zewnętrznej) zmienić swego stanu. Wskutek bezwładności ciało opiera się zarówno nadaniu mu ruchu, jak i odjęciu istniejącego, a stopień tego oporu stanowi miarę zawartej w niem ilości materyi. Takie oddzielenie strony czynnej od biernej w zjawisku (siły od materyi) było niezbędnym momentem dla założenia podstaw mechaniki ruchu (dynamiki). Uczynił je Galileusz, twórca mechaniki nowożytnej. Myśl ta była już wszakże zawarta w pojęciu atomu (ob.) Demokryta, jako szczytowy punkt obezduchowienia materyi, przeprowadzonego w pierwszych wiekach filozofii helleńskiej.

Biofory (od βίος — życie) tak nazwał Weismann najmniejsze składniki życiowe plazmy (rodzaj atomów życiowych), które mają objawiać już wszystkie czynności zasadnicze życia: asymilacyą, przemianę materyi, dzielenie się. Skupienia biofor tworzą *determinanty*, z tych powstają *idy* i *idanty*, które mają być identyczne z obserwowanemi już przez mikroskop *mikrozomatami*.

Biogenetyczne prawo tak nazywa Haeckel prawo, według któ-

rego organizm w rozwoju swoim osobnikowym *(embryologicznym)* powtarza w skróceniu fazy, przez które przechodzili jego przodkowie, zanim w rozwoju *filogenetycznym* (rodowodzie) osiągnęli ten stopień, jaki obecnie przedstawia ów organizm. Tak np. zarodek człowieka w pewnych fazach ma skrzele, które następnie znikają, i w ogóle podobnym jest do wielu zwierząt niższych. Prawo to więc ustanawia jedność pomiędzy *ontogenią* (rozwojem indywidualnym), a *filogenią* (rozwojem rodowym). — Serres pierwszy zwrócił uwagę na tę zgodność embriologii z anatomią porównawczą.

Bóg — Istota najwyższa, najdoskonalsza, przyczyna wszystkich innych, sama nie mająca przyczyny i wieczna, rozum najdoskonalszy. — Pojęcie filozoficzne Boga różni się od religijnego tem, iż nie pojmuje go filozofia jako istotę osobową, na podobieństwo ludzkie pomyślaną. W ogóle zaś w filozofii istnieje dążność do pojmowania Boga, jako istoty bytującej w świecie *(imanentnej)*, nie zaś pozaświatowej *(transcendentnej)*. Plato nazywa Bogiem najwyższą z idei — Dobro. — Dla Arystotelesa bóstwo jest formą bez materyi, pierwszą dźwignią ruchu, nie wprawianą w ruch, lecz wszystko wprawiającą. Neoplatonicy pojmują świat, jako wypływ *(emanacyą)* Boga. Dla stoików Bóg jest duszą wszechświatową (oddechem świata — *Pneuma)*. W filozofii judeo-aleksandryjskiej Bóg jest pozaświatowy, a styka się z materyą przez pośrednictwo sił (aniołowie judaizmu). Ten pogląd legł w osnowie chrześcijańskiego. U Kartezyusza Bóg staje się pośrednikiem między duszą a ciałem; Malebranche nazywa go «miejscem duchów». Spinoza pojmuje go jako świadomość, czyli duchową stronę wszechświata *(panteizm* [ob.], *Deus sive Natura)*. Rzec można, iż tu osiąga się szczytowy punkt w filozoficznem pojmowaniu Boga. U Leibniza Bóg jest najwyższą monadą. Dla Kanta — jednym z «ideałów rozumu». Fichte nazywa Bogiem moralny porządek świata *(Ordo ordinans)*. Schleiermacher, zgodnie ze Spinozą i Schellingiem nazywa Bogiem tożsamość myśli i bytu.

Boski świat (Trentowski) jest *kojarzeniem* (ob.) przeciwieństw: świata *realnego* (któremu hołdował przeważnie szczep romański), oraz *idealnego* (przedmiot zajęcia szczepu germańskiego). Miała go odsłonić filozofia polska i w ogóle słowiańska. W średnich wiekach Bóg był pozaświatowy, był przedmiotem wiary; Spinoza przeprowadził go w świat, a filozofia nowożytna uczyniła zeń czystą myśl, ideę, utwór umysłowy. Feuerbach przeprowadził go w istotę człowieczeństwa. Według Trentowskiego *Bóg jest za świa-*

tem (jako jego stwórca), *w świecie* (jako wieczne słowo boże) *i w piersiach człowieka* (jako tchnienie boże, czyniące człowieka podobieństwem bożem). Organem poznania świata boskiego jest *myśl* (ob.).

Bożyszcza ob. *idola.*

Bożo-obrazowość (Trentowski). Z trzech faz rozwoju dyalektycznego ducha osobowego: *osobistości*, *bożo-obrazowości* i *jaźniowości*, środkowej odpowiada etyka.

Bożostan — tak nazywa Trentowski drugie wyższe kojarzenie bytu (twierdzenie) i nicestwa (przeczenie) — pierwszem jest *żywostan* (ob.). «Ontologiczny byt przetwarza się w kosmologiczny jaw, ten zaś w pneumatologiczną prawdę. Pierwostan przedzierżga się w żywostan, a ten w bożostan. Przedświat staje się światem, a ten pozaświatem» (*Panteon* II, 307). «Ponieważ boskość jest wszędzie ostateczną podwaliną, przeto bożostan jest ostatnią kategoryą prawdy» (*Myślini*, str. 159). — Naukami żywostanu czyli biotycznemi w jego klasyfikacyi (w *Chowannie*) są: pedagogika, administracya, polityka, strategia; *bożostanu* czyli historycznemi: propedeutyka historyczna, historya, historyografia. — W *Panteonie* historya (z temi podziałami) stanowi trzecią część *humanistyki* (ob.).

Braidyzm toż samo co hypnotyzm. Pochodzi ta nazwa od doktora Braid, który usypiał pacyentów, każąc im przyglądać się przedmiotom świecącym i opisał szereg objawów hypnotycznych. Dzieło jego *Neurypnologia* ukazało się w r. 1843.

Buddyzm systemat religijno-etyczny założony w VI wieku przed Chr. przez Sakia-Muni'ego czyli Buddę (oświecony, mędrzec). Istotą doktryny jest twierdzenie, że źródłem złego jest *wola do życia* (tanhà), objawiająca się we wszechświecie i nadająca mu charakter nierozumu, błędu, cierpienia, ułudnej znikomości (samsaro). Zbawieniem i celem mędrca jest *nirwana*, stan wygaśnięcia wszelkich namiętności i dążeń, obojętności umysłu i serca. «Mędrzec zatapia się w nirwanę, w wieczny spokój, nie pragnie nawet szczęśliwości niebios; większość zaś ludzi bezmyślnie błądzi nad brzegami nirwany». – Buddyzm posłużył za pierwowzór do współczesnego *pesymizmu* (ob.).

Byt — to co istnieje, jako przeciwstawne temu, co się myśli, lub też najogólniejsze pojęcie, obejmujące wszystko rzeczywiste. U filozofów starożytnych przed Sokratesem byt znaczy toż samo co *pełnia* (która była pojęta cieleśnie-duchowo — πλέον); niebyt — to próżnia (przestrzeń). Eleaci twierdzili, że tylko byt istnieje, wszelka zaś zmiana jest pozorem. Przeciwnie, Heraklites mówił, że nic trwa-

łego niema, są tylko zjawiska («wszystko płynie»). Atomiści poprzegradzali pełnię (byt) próżnią (niebytem) i wyrugowali stany wewnętrzne (psychizm), a w ten sposób otrzymali *atomy* (ob.). U Platona tylko *ideje* (ob.) są bytem, widome rzeczy — złudzeniem. U nowszych idealistów — bytem jest duch poznający, świat cały — jego wyobrażeniem (ob. *monada*). U Kanta bytem jest *rzecz w sobie* (*noumenon* ob.). Materyalizm widzi byt tylko w materyi (rozdrobionej, jak u atomistów starożytnych lub ciągłej), fenomenizm zbliża się do poglądu Heraklitesa, przyznając rzeczywistość tylko zjawiskom (ob.). «Najogólniejszem pojęciem umysłu ludzkiego, obejmującem wszystkie najróżnorodniejsze *przedmioty* wiedzy, całą przedmiotowość (ob.) czyli objaktywną realność, jest *byt*. Wszelka wiedza dotyczy w ten lub inny sposób bytu, ma za przedmiot tę lub ową stronę jego, tę lub ową własność, ten lub ów objaw jego, t. j. wszelki przedmiot wiedzy jest bytem, rozpatrywanym pod tym lub owym względem» (M. Struve, *Wstęp*).

Całka (w matematyce) — suma nieskończenie małych wielkości (przyrostów) połączonych z sobą w sposób ciągły (ob. *ciągłość*).

Całkowanie = *integracya*. W matematyce — czynność, przez którą otrzymuje się suma nieskończenie małych, a sposobem *ciągłym* (ob.) jedne w drugie pzechodzących *różniczek* (ob.). W filozofii Spencera *całkowanie* jest obok *różniczkowania* momentem rozwoju czyli postępu, który polega na różniczkowaniu pierwotnej, nieokreślonej jednorodności, oraz na późniejszem jej całkowaniu, czyli na rozkładzie (wytworzeniu różnorodności) i skupieniu skutkiem, którego powstają w końcu najwyższe formy życia.

NOWE KSIĄŻKI.

Karol Woerman: *Czego nas uczą dzieje sztuki?* Przekład Jana Kasprowicza z przedmową Prof. Dra Boloz-Antoniewicza. Wydawnictwo «Wiedza i życie». Lwów, Nakład Altenberga, 1902, str. 202.

W dziele swem, autor zajmuje się wyłącznie tylko malarstwem, jako sztuką, stanowiącą według słów jego, sztukę teraźniejszości, a przytem najwyraźniej ze wszystkich sztuk plastycznych, odzwierciedlającą najsubtelniejsze przemiany historyczne, dzięki temu, iż posiada najrozleglejsze pole przedstawiania zjawisk, a także najróżnorodniejsze potrzebne do tego środki. Na podstawie przykładów zaczerpniętych z dziejów sztuki, wyjaśnia autor, w czem kryje się i na czem się opiera prawdziwa wartość wieczystych, wzorowych arcydzieł, bez względu na temat i sposób wykonania. Polega ona na promieniującym z nich rodzimym i współczesnym pierwiastku, oraz na niepochwytnem, a jednak nieśmiertelnem piętnie samoistnego, twórczego ducha. Wszyscy nieśmiertelni mistrze byli jak najściślej zrośnięci z duchem swego narodu i swego czasu, a przytem posiadali wybitną indywidualność duchową, nadającą ich pracom im tylko właściwą odrębność. Mają oni swój własny sposób pojmowania i są zawsze samymi sobą, czy w dziełach ich przeważa natura, czy też wyobraźnia. Wielcy, samodzielni artyści, bez względu na zewnętrzne wpływy i modne prądy, pozostawali zawsze wiernymi synami swej ojczyzny i epoki, i dlatego to są uznawani za wielkich przez potomność. Mengs i Dawid np. gwiazdy kierunku modnego w końcu XVIII wieku ślepo naśladowniczego, klasycystycznego, poszli dziś w zapomnienie, gdy Watteau zawsze nęci i przykuwa do siebie, będąc w swej sztuce mistrzowskim wyrazicielem życia oraz ducha współczesnej mu epoki. «Natomiast, robi uwagę autor, nie dalibyśmy nigdy temu wiary, gdybyśmy nie widzieli tego od czasu do czasu na wystawach, że u schyłku XIX wieku, w chwili, gdy ulice miast tętnią od kroków potężnych tłumów robotniczych, mogą istnieć utalentowani artyści, z całą zapalczywą powagą zasiadający do malowania obrazów, w którychby jak najwierniej, pod względem treści i formy odżyła na nowo epoka Watteau. Jest to służyć jakiemuś archaizującemu kaprysowi, albo czynić zadość bezmyślnym obstalunkom mody i z otwartemi oczyma zrzekać się samodzielności

artystycznej, a tem samem trwania w dziejach sztuki». — Znaczną część książki p. Woerman poświęca współczesnej sztuce niemieckiej i jej wybitniejszym przedstawicielom; zaznaczywszy dwa odmienne, równolegle obok siebie idące kierunki: naturalistyczny i fantastyczny, na czele pierwszego stawia Adolfa Menzla, na czele zaś drugiego — Arnolda Boecklina; za mistrza sztuki rylcowej uważa Maxa Klingera.

Wogóle, przyznając młodym artystom niemieckim samoistność i oryginalność, wyraża zdanie, że sztuka niemiecka ostatnich lat dziesięciu będzie uważana przez potomność za sztukę epoki przejściowej, gdyż pomimo świeżości i różnorodności nowych prądów, wydała ona zbyt mało dzieł zupełnie wykończonych i wszechstronnie dojrzałych. — «Wielką zasługą książki Woermana, mówi w swej przedmowie Prof. Bołoz-Antoniewicz, jest ta, że autor stał się w niej (chociaż ograniczając się tylko do sztuki niemieckiej) wymownym rzecznikiem sztuki współczesnej, gdyż jej poznanie u pojedynczych narodów daje co najmniej równe korzyści, równie jasny obraz najrozmaitszych prądów i instynktów, jak znajomość współczesnej literatury «pięknej», znajomość tak rozpowszechniona, a nieraz w sądach tak pobłażliwa. Powiem więcej: dziś znowu nastały czasy, kiedy myśl tworzy swobodniej, niezależniej, śmielej w malarstwie i rzeźbie, niż w poezyi i muzyce. Poznawanie sztuki współczesnej jest więc jednym z pierwszych postulatów głębszego wykształcenia. Sądziłbym nawet, że gdzie nie chodzi specyalnie o naukowe objęcie całokształtu sztuki w jej dziejowym rozwoju, ale o poznanie jej duchowych i psychicznych walorów, wszelkie studya artystyczne powinnyby się zaczynać od sztuki współczesnej». — Co do zalet przekładu, świadczy o nich najlepiej samo nazwisko tłumacza. Dla literatury naszej, dość ubogiej w oryginalne i tłumaczone dzieła, traktujące o sztuce, przyswojenie książki Woermana jest cennym i pożytecznym nabytkiem. *J. S.*

H. Struve: *Wstęp krytyczny do filozofii czyli rozbiór zasadniczych pojęć o filozofii.* (Wydanie trzecie). Warszawa, 1903, nakładem autora, str. 780. — Cena 3 rs.

Szybkie ukazanie się tego trzeciego wydania po drugiem (w r. 1898) świadczy o tem, że użyteczne i gruntowne to dzieło nie leżało odłogiem. Autor poświęca nowe wydanie «Młodszym miłośnikom nauki krytycznej», a w tej dedykacyi streszcza się zasadnicza myśl całej, blizko 40-letniej pracy autora na polu pedagogicznie-filozoficznem: miłość dla młodzieży i chęć wpojenia jej zasad i metody myślenia krytycznego zarówno przeciwnego dogmacikom negacyjnym, jak i ślepej wierze w tradycye. To też czytamy we wstępie do tego wydania: «Za jeden zaś z głównych środków pomocniczych w kierunku rozbudzenia studyów filozoficznych, poczytuję zdemaskowanie owego powierzchownego dyletantyzmu filozoficznego, który swą niechęć do poważnej, prawdziwie krytycznej pracy myśli zasłania tak często wygodną uległością dla negacyjnych prądów czasu bez ich przedmiotowego rozbioru. Tymczasem dopiero taki przedmiotowy rozbiór owych prądów, jak i w ogóle wszelkich dążności umysłu ludzkiego, może nas doprowadzić do krytycznej oceny ich istotnego znaczenia i wyzwolić nas z więzów jednostronnego subjektywizmu, przyjmującego ślepo, na wiarę te lub owe popularne poglądy».

Nowe wydanie urosło o 30 stron w stosunku do poprzedniego przez

uwzględnienie nowych książek i myśli z literatury swojej i obcej; bogactwo bowiem wskazówek bibliograficznych, czerpanych przez autora przeważnie z bogatej skarbnicy Muzeum Brytańskiego, niemniej jak z pilnego śledzenia za każdym nowym zjawiskiem w literaturze krajowej, stanowi jednę z najcenniejszych zalet tej książki. Pod względem planu i wykonania jest ona również jedyną w literaturze powszechnej. Chociaż bowiem liczne «wstępy», zaczynając od paulsenowskiego, a kończąc na świeżo przez p. Wundta wydanym (obecnie pod prasą w przekładzie polskim), ukazały się po niemiecku w ciągu ostatnich lat kilku, to żaden z nich nie jest tak szeroko i wyczerpująco pomyślany, żaden nie uwzględnia tak wszechstronnie i obszernie stosunku filozofii do rozmaitych zakresów życia jednostkowego i ogólnego jak ten, o którym mowa. Na tem też polega szczególna doniosłość jego dla wykształcenia ogólnego. *W. M. K.*

Dr Ludomir German: *Przegląd dziejów literatury powszechnej*. Tom I. Starożytność (Lwów, 1901, str 248). — Tom II. Wieki średnie (tamże, 1902, str. 173). Nakładem Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

Równolegle z obszernemi opracowaniami Dziejów literatury powszechnej, które albo raptownie zostały urwane, albo też znajdują się dopiero w samych początkach, ukazują się krótkie zbiory, zaznajamiające z najgłówniejszemi przynajmniej objawami twórczości wszechludzkiej. Niektórzy patrzą z góry na zbiory podobne, jako nie odpowiadające wymaganiom «ścisłej nauki». Nie podzielam tego mniemania; w zasadzie bowiem uważam prace takie za środek przygotowawczy do lepszego dokładniejszego poznania piękna w kształtach słowa. A nadto są przecież ludzie, nie mogący poświęcać zbyt dużo czasu na studya szczegółowe literatury powszechnej, a pragnący mieć o jej rozwoju choć jakie takie ogólne pojęcie. Kiedy się zważy, jak mało u nas są czytane wielotomowe dzieła, choćby nawet tyczyły się historyi Polski; to się raczej cieszyć należy z pojawiania się zwięzłych kompendyów niż je wydrwiwać.

Idzie głównie o samo ich wykonanie, t. j. o układ i wykład, o wybór tego, co jest naprawdę znakomitem i godnem poznania, oraz o umiejętne zaznajomienie z tak wybranemi przedmiotami. Czy książka p. Germana, powyżej z tytułu przywiedziona, czyni zadość tym wymaganiom? Biorąc rzecz ogólnie, nie można się wahać z odpowiedzią twierdzącą. Autor zna wyniki badań krytycznych najnowszych, a chociaż niezawsze za niemi idzie, hołdując tradycyjnemu sposobowi przedstawiania jakiejś sprawy literackiej, nie czyni tego zbyt często i nie odbiera swej książce cechy współczesności. Wyboru dzieł, nad któremi utrzymuje się dłużej, dokonywa trafnie; tylko czasami niepotrzebnie szafuje nazwiskami pisarzów podrzędnych, których w tak krótkim podręczniku śmiało można było pominąć. Nie dotrzymał wprawdzie obietnicy złożonej w przedmowie, że «zwięźlej poda obraz tych epok i tych gałęzi literatury, które obejmuje zwykle plan naukowy»; ale tem lepiej, bo czytelnicy zyskali na tem obszerny i z widocznem zamiłowaniem przeprowadzony rozbiór dramatu greckiego. Mówi bardzo jasno, przystępnie, w górnolotne frazesy się nie wdaje; szkoda tylko, że za często popada w zaniedbanie stylistyczne, czasami aż rażące. Mniej jest szczęśliwym w uogólnieniach, mianowicie we «Wstępie», gdzie trzeba było podać określenie poezyi i jej za-

kresu. «Podniosłość treści — czytamy tu — i niezwykłość formy, oto dwie główne cechy tych utworów ducha ludzkiego, na których wycisnęła swe piętno wyobraźnia, nazywamy je poezyą». Określenie to bardzo zdawkowe. Każdy czytelnik, doszedłszy w książce p. Germana do ustępu wysławiającego piękność piosnek Anakreonta, zapytać go może, gdzie on tu dojrzał «podniosłość treści»; a potem przy każdym liryku lekkim, światowym ponawiać będzie to samo pytanie i nie znajdzie na nie odpowiedzi w definicyi poezyi, podanej przez autora. Podobnież trudno chyba przyjdzie p. Germanowi usprawiedliwić przy wykładzie najnowszego np zwrotu poezyi, twierdzenie wypowiedziane we «Wstępie», jakoby używanie «symbolów» znamionowało głównie epokę dawniejszą rozwoju poezyi, gdy później ono «ustaje lub ogranicza się znacznie». Lepiej podobno było zaznaczyć wielką różnorodność objawów ducha, posługującego się najrozmaitszemi środkami idealistycznemi i realistycznemi, symbolicznemi i jednostkowemi, by wyrazić swe pojęcia, wrażenia, uczucia, pomysły.

Wiadomą zresztą jest rzeczą, iż uogólnienia, określenia należą do czynności umysłowych najtrudniejszych, jeżeli mają uczynić zadość ścisłości praw logicznych. Nie bądźmy więc zbyt surowi w ich ocenie. Zastanówmy się trochę nad szczegółami w książce p. Germana.

Starożytność obrobił autor w sześciu rozdziałach, najwięcej miejsca poświęcając oczywiście Grecyi, zwłaszcza zaś liryce i dramatowi, gdy epos trochę zanadto krótko traktował. W «Rzucie oka na literaturę narodów najodleglejszych», przy Indyach stosunkowo najdłużej się zatrzymał: wobec jednak dzisiejszego zainteresowania się tym przedmiotem, nie można poczytać za całkiem zadawalające to, co tu znajdujemy. Przytem jakaś dziwna nieuwaga kazała autorowi dźwięk sanskrycki, wyrażony w dziełach naukowych przez **c** z ogonkiem (ç) oddać przez **k**: Akwiny, Dakarata (zamiast Aswiny, Dasarata). Podobno ów dźwięk odpowiada polskiemu **ś** (a może: **ć**?). Taki szczegół podkopuje wiarę w trafność transkrypcyi innych, jeszcze mniej znanych nazw.

W opowiadaniu o literaturach średniowiecznych razi umieszczenie Macphersonowego Ossyana oraz Królodworskiego rękopismu w epokach odległych, jakby to były autentyczne ich zabytki. Pan German zna i przytacza wyniki badań krytycznych, które wykazały, że owe utwory wcale nie są autentycznemi; mimo to przytacza z nich wyjątki, jako niby świadectwa twórczości czasów zamierzchłych. I dlaczego tak robi? Co do Ossyana dlatego, że Macpherson «tło cywilizacyjne wziął niewątpliwie z starodawnych podań, żyjących *w rękach* (!!) ludu, że wiadomości o czynach i zdarzeniach są niewątpliwie autentyczne, a nareszcie, że pod powłoką nowoczesnego nastroju łatwo znaleźć można ów głęboki smutek, owo bezgraniczne uwielbianie świetniejszej przeszłości, które zamierający naród zamknął w swych pismach». Alež na mocy podobnego rozumowania możnaby utwór Wiktora Scheffla p. t.: *Ekkehard*, napisany w połowie XIX wieku przenieść do wieku X-go, który się w nim tak znakomicie odzwierciedla, gdyż powieść ta ma tło cywilizacyjne, wzięte z dokumentów, wiadomości o zdarzeniach w niej zawarte są autentyczne, a pod powłoką nowoczesnego nastroju odnajdujemy znamienne cechy ludu i stosunków z czasu, kiedy powstała pieśń o Walterze z Akwitanii..

Co do «Królodworskiego rękopismu», rozumowanie p. G. jest jeszcze kruchsze i niewłaściwsze. «Jakkolwiek zdaje się — mówi on — że Hanka, za-

chęcony odkryciem Słowa o pułku Igora u rusinów, zapragnął stworzyć i dla swego narodu taki zabytek, a brał nieoględnie całe zdania i zwroty z ruskiego poematu; jednak zaprzeczyć nie można, że te *zabytki* odwiecznej przeszłości czeskiego narodu, pomniki starej sławy, długich walk, krwawych zapasów i *ślady* rodzimej cywilizacyi ożywiły samopoczucie narodu i powołały go do nowego życia» — oczywiście w wieku XIX. To argumentowanie przemawiałoby (po wykreśleniu «zabytków» i «śladów», jako niestosownych wobec falsyfikatu) za tem, żeby «Królodworski rękopism» pomieścić właśnie w stuleciu XIX, dla wykazania wpływu, jaki wywarł na ożywienie «samopoczucia narodu».

Przedstawienie literatury średniowiecznej dwie ma wady główne: nie daje poznać ducha filozofii scholastycznej, chociaż robi ku temu przygotowania w obrazku cywilizacyi arabów hiszpańskich, i nie obejmuje twórczości Dantego. Pierwszy brak nie dozwolił autorowi wystawić należycie zwrotu allegorycznego w poezyi średniowiecznej, a drugi sprawił, że książka jego wygląda, jak gmach bez kopuły.

Dante był niewątpliwie «zwiastunem» nowej humanitarnej doby rozwoju, lecz przedewszystkiem jest najdoskonalszym przedstawicielem średniowiecza; miejsce więc jego właściwe nie na progu okresu nowego, lecz na szczycie dawnego.

Nie można niestety twierdzić, żeby książka p. G. odznaczała się poprawnością wydania; błędy spotykają się nawet w nazwiskach i tytułach — więc tam, gdzie ich zgoła być nie powinno. *P. Chmielowski.*

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— **„Biblioteka Warszawska“**, październik. *Dwugłos* p. Elizy Orzeszkowej i p. J. Romskiego. Świetny i barwny język, prześliczny opis puszczy Białowieskiej oraz prawda psychologiczna i głębsza tendencya, cechująca wszystkie utwory Orzeszkowej, stawiają szkic ten w rzędzie jej najlepszych dzieł ostatniej doby. Dalszy ciąg *Pamiętnika generała Weyssenhofa* zawiera między innemi szczegółami opis bitwy pod Grochowem, kapitulacyi Krakowa i podstępnego wydania miasta przez austryaków rosyanom. Pamiętnik swój kończy autor rzutem oka na ówczesny pogląd polaków na sprawę Francyi i stanowisko Napoleona, jako sprzymierzeńca Polski; p. J. Kallenbach daje garść *Wspomnień o Mickiewiczu* z jego lat dziecinnych życia w Nowogródku; p. Rakowski w rozpoczętej pracy o *Wychodztwie polskiem do Niemiec* dzieli emigrantów na kilka odrębnych typów: 1) typ robotnika stale mieszkającego w Niemczech, zatrudnionego w przemyśle, 2) typ rzemieślnika, zaludniającego przeważnie wielkie miasta oraz służby żeńskiej, wychodzącej na zarobek do Niemiec; 3) typ robotnika rolnego, sezonowego t. zw. obieżysasów, którzy gromadami wychodzą do Niemiec na roboty wiosenne i letnie, późną jesienią dopiero wracając do kraju. Dzieje wychodźców, których liczba zwiększa się ciągle skutkiem wzrostu przemysłu i militaryzmu w Niemczech, powodującego

znaczniejsze od lat 30 zapotrzebowanie robotnika, autor maluje silnie i z wielką znajomością omawianych stosunków. — Terytoryalne wychodztwo polskie dzieli na trzy wielkie grupy: 1) Westfalia i prowincye nadreńskie; 2) Saksonia i prowincye saskie Prus: Brunświk, Anhalt, Hanower, Meklenburg, Oldenburg i położone między temi krajami części Prus; 3) Wielkie miasta całych Niemiec. W Westfalii, obejmującej grupę pierwszą autor podaje liczbę wychodźców na 180.000 głów. Biorąc liczbę istniejących w koloniach towarzystw za probierz, wskazujący stan ekonomiczny, etyczny, narodowy i intelektualny każdej z wymienionych grup, uważa Westfalią za przodującą niejako w tym kierunku. Ignacy Chrzanowski kończy studyum o *Gracyanie Piotrowskim i jego satyrze*, podnosząc znaczenie autora jako moralisty i obserwatora objawów życia społecznego. Wł. Bogusławski kreśli *Kronikę teatralną*. Dział piśmiennictwa zawiera krytykę pamiętnika gen. Kołaczkowskiego, dzieła Żuławskiego: «Spinoza. Człowiek i dzieła» i ocenę utworów Reymonta. Kronika miesięczna i wiadomości naukowe dopełniają zeszytu. *Z. N.*

— **„Krytyka“**, październik. Zeszyt ten zapełniony jest cały artykułami o p. Konopnickiej: *Hołd poetce* przez F.; *Ideje społeczne w utworach jej* przez K. Radosławskiego; *M. Konopnicka jako nowelistka* przez L. Belmonta; *Motywa filozoficzne w poezyach Konopnickiej* przez W. M. Kozłowskiego; *Z literatury o Konopnickiej* przez X.; *Liryka Konopnickiej* przez J. Lorentowicza; *Kwestya kobieca w jej poezyach* przez K. Krauza.

— **„Humanité Nouvelle“**, październik. Wstrzymane przez 19 miesięcy wskutek procesu z wydawcami, o którym w swoim czasie donosiliśmy, wydawnictwo to rozpoczyna się nanowo. Sprawa jest jeszcze w kasacyi; ale redaktor p. A. Hamon nie czekając na jej zdecydowanie, odwołał się do przyjaciół i środki na prowadzenie pisma znalazły się żywo. Oby u nas tak być mogło. Redaktor zaczyna od przypomnienia zasady pierwotnej wydawnictwa, wygłoszonej w r. 1900. *H N.* różni się od wszystkich innych wydawnictw tem, że pozostawia zupełną swobodę opinii i niezależność przekonań autorom, którzy sami tylko są odpowiedzialni za swoje prace. Wychodząc z przekonania, że prawda wytryska z zetknięcia się rozmaitych zdań, pozostawia swobodę wszystkim. Prawda jest zmienną; dzisiejsza prawda będzie błędem jutro. Przytem kto może być pewnym, że ją posiada? Roztropniej więc mówić z Montaigne'em: «kto wie?» *H. N.* jest «stowarzyszeniem wolnem pisarzy niezależnych, wyrażających swoje opinie osobiste z zupełną swobodą».

Artykuły obecnego numeru są następujące: Th. E. Will o *Trustach*. Ciekawe to studyum o owych potworach ekonomicznych Stanów Zjednoczonych, napisane profesora w Ruskin College w Trenton (Mo). Przytoczywszy potworne koncentracye kapitałów w tych syndykatach (powtórzymy niektóre: Beef Trust 100,000.000 dol; Anthracite Coal Trust 150,000.000 dol.; Atlantic Passenger Steamship 100,000.000 i t. d.), autor zastanawia się nad środkami ich zwalczenia; nie widzi innych, jak tylko wchłonięcie ich przez państwo. Niech syndykaty przemysłowe zostaną tem, czem jest dziś poczta Stanów Zjednoczonych, a z siły szkodliwej staną się dobroczynną. «Trusty są dobre dla tych, kto do nich należy; niechże wszyscy staną się ich wspólnikami». V. E. Michelet *Sonety*. — Diplomaticus roztrząsa *Kwestyę wojskową w Finlandyi i w Rosyi.*

Nowela pod tytułem *Otchłań* przez L. Andrejewa (przekład z rosyjskiego). — Dwelshauvers rozpoczyna artykuł o *Idei prawa w psychologii.* M. Sembat poświęca artykuł *Sytuacyi politycznej obecnej we Francyi.* — J. Coucke robi studyum psychologiczne nad *wystawą dawnych mistrzów flamandzkich*, która miała miejsce b. lata w Brugges. — Staranny przegląd książek w rozmaitych językach zamyka zeszyt; za dodatek służy memoryał o zatargu pomiędzy redaktorem a dawnym wydawcą, firmą Schleicher frères. *W. M.*

— **„Mercure de France“**, wrzesień: Pierre Quillan *Les Phéniciens et l'Odyssée.* Francis Jommes *Le roman du lièvre.* Virgile Josz *Watteau des Porcherons à la Comédie Française.* Charles-Henri-Hirsch *M. des Boufflers an clavecin.* Rémy de Gourmont *Les funérailles du style (VIII—XIII fin.).* Paul Fort *Les hymnes de feu.* Paul Léantaud *Le petit ami — roman. Revue de mois.* W dziale o literaturze polskiej, p. Jan Lorentowicz oprócz przeglądu czasopism i wykazu ostatnich nowości literackich, daje obszerne charakterystyki pp. A. Langego i W. Feldmana. P. Langego nazywa «najbardziej być może skomplikowanym pisarzem współczesnym». Podziwia w jego utworach rozmaitość formy, głębię poruszanych kwestyj, niesłychane bogactwo i ekspresyę wyrażeń, nadające im «pozory natężonego, pełnego rzeczywistej potęgi życia» — pozory tylko, gdyż zarzuca mu dalej sztuczność, brak szczerości i daru bezpośredniego odczuwania. Źródło tych braków upatruje w tem: «że nawet w chwilach, gdy widowisko życia napełnia mu serce wzruszeniem, a oczy łzami, p. Lange rzuca się do kart jakiejkolwiek filozofii, by się dowiedzieć, co «Księga» mówi o przedmiocie, który potrafił go wzruszyć. Indywidualność jego całkiem refleksyjna, jest wytworem czterech składników połączonych z sobą czysto mechanicznie; sztuka specyalnie francuska, ślepo naśladująca metodę i sposoby swych wzorów; język polski dziwacznie urobiony i ukształtowany; dusza nakoniec doskonale kosmopolityczna, przyswajająca z jednaką łatwością wytwory najróżnorodniejszych cywilizacyj. — Całej tej mieszaninie brakuje organicznej jednolitości, wypływającej z rzeczywistego odczucia. Dalej krytyk zaznacza przemiany, przez jakie przechodziła twórczość poety; wspomina o jego młodzieńczych, idejowych utworach, wyśpiewanych w Paryżu, gdy był bardem nowych idei «wśród gromadki bohaterskich idealistów», następnie mówi o jego pielgrzymkach po parnasie francuskim, które «wynarodowiły go na zawsze». Poeci francuscy oczarowali go aż do utraty własnej indywidualności, tłumaczy ich lub kopiuje po polsku; najulubieńszym poświęca apologie skromnie zatytułowane: «Studya z literatury francuskiej». «Wkrótce poezya francuska przestaje mu wystarczać, odbywa więc estetyczną wędrówkę po całym świecie, uczy się wszystkich języków, aż do nowo-zelandzkiego i polinezyjskiego, i upaja się ich legendami na równi z poezyami Edgara Poe'go. Dziwnem jest, że p Lorentowicz, wyliczając różne, zwracające jego uwagę z rozmaitych przyczyn utwory p. Langego, ani słowem nie wspomina o *Holendrze latającym*, jednym z najlepszych utworów poety; za to bardzo pochlebnie odzywa się o pięknym poemacie *Venus żebraczka*, «gdzie biała bogini zstępuje na ziemię, przebrana w łachmany nędznej prostytutki, zwiedza ubogie izby i szynkownie, a oburzona ogromem napotykanej nędzy, zapowiada okrutną zemstę, obiecując udręczać i wyniszczać bogaczów i możnych zgubną namiętnością, którą w nich roznieci. Poemacik ten miewa bole-

sne i potężne akcenty, dające się u p. Langego słyszeć w rzadkich tylko chwilach, gdy życie porywa go pomimo jego własnej woli. Co do miłosnych poezyi, p. Lange napróżno usiłuje mówić nam o miłości, «tej duszy liryzmu ludzkiego», ku której kroczy z prostotą neofity, w białej szacie, by uśpić naszą nieufność i zmusić do uwierzenia, że kochał prawdziwie; wszystkie te pełne wdzięku, wygładzone pieścidełka nie przemawiają do serca. Niewieście postacie przepełniające miłosną literaturę wszystkich dawniejszych i dzisiejszych ludów, jak gdyby różnobarwną zasłoną kryją przed poetą oblicze ukochanej kobiety. Kochał przedewszystkiem dlatego, że miłość daje powód do tworzenia pięknych frazesów, a piękny frazes, Słowo, Logos, jest dlań jedynem bóstwem; na cześć jego zbudował kilka olśniewających, poetyckich przybytków, jak *Pieśń o Słowie*, *Słowo i Liczba*, a głównie nadzwyczajny poemat o *Rymie*, niezaprzeczone arcydzieło prozodyczne, do którego z bezprzykładną łatwością wprowadził kilkaset rymów zupełnie nieznanych dotąd w Polsce. Z całego tomu szkiców literackich p. t.: *Studya i wrażenia*, zawierającego niestrudzone poszukiwania nad istotą i funkcyonowaniem gieniuszu, niech czytelnik zapamięta przytoczone w tem dziele zdanie Deotymy: «Najbardziej natchnionym ten byłby, ktoby poznał zagadkę natchnienia». W Exegi, finale swych poezyi, p. Lange zwiastuje nam dla siebie nowe życie, nową fazę swych natchnień poetyckich. «Miejmy więc nadzieję, mówi krytyk, ujrzeć nowe życie tego nadzwyczajnego świata, usłyszeć o rzeczywistej radości, rzeczywistych smutkach i miłości, zobaczyć prawdziwe niebo i gwiazdy... nie papierowe!!» P. Feldman, nazwany przez p. Lorentowicza, utalentowanym pisarzem i wybitnym publicystą, stanowi z p. Langem prawdziwy kontrast. Do niego przemawia najsilniej treść życia szerokiego, niezależnego, prawdziwego; tęsknota za niem, wyrywa go z pilnie strzeżonych przez tradycyę więzów rodzinnych i plemiennych a rzuca w świat szeroki. P. Feldman spędził dzieciństwo pod dachem ubogiego, małomiasteczkowego domku i w nędznej, ogłupiającej systemem nauczania szkółce żydowskiej. Dopiero w 14-tym roku życia poznał jako tako język polski i wtedy opuścił swą wioskę, z sercem pełnem entuzyazmu dla ludzi; wtedy to rozpoczęło się jego rzeczywiste wykształcenie, poza obrębem szkół, których nie znał nigdy. Pierwszy jego utwór literacki *Żydziak* wzbudził żywe zainteresowanie. Lecz walka, partye i grupy polityczne, organizowanie ciemnych mas, z których sam wyszedł, entuzyazmują go na równi z pracą literacką. Ten podział energii zaszkodził jednak jego natchnieniu i drugi utwór p. F. *Piękna żydówka* [1]) ustępuje pierwszej próbie co do świeżości i wdzięku; oprócz tego pisuje do czasopism i przeglądów piękne szkice, zajmuje się kierownictwem pisma, zwiedza Europę i powraca do walki z większym jeszcze zasobem energii. Pisze nowele, bajki, powieści, żaden jednak z późniejszych utworów nie miał tego powodzenia co pierwszy. Teatr nęci go także: w zeszłym roku wydał dwa dramaty, zdradzające poważny dramatyczny talent. Pomimo gorących przekonań politycznych, nie jest on suchym doktrynerem, kocha życie i piękno. Dowodzi tego starannem kierownictwem «Krytyki» i ostatnią, najważniejszą pracą: *Dwadzieścia lat literatury polskiej*. Dzieło to nadzwyczaj przyjemne w czytaniu, ujmuje szczególnie swą specyalną metodą. P. Feldman uważa literaturę za żywą istotę, która pomimo różnorodności swych

[1]) *Piękna Żydówka* poprzedziła *Żydziaka* w rzeczywistości. *(Przyp. Red.)*.

przejawów i przemian pozostaje zawsze sama sobą; odsuwa na drugi plan stronę biograficzną, zajmując się przeważnie głównemi prądami. Traci się trochę wśród ogromnej ilości talentów poetyckich i literackich . . . . . . w ostatnich dwudziestu latach; sądzi zbyt skromnie niektórych wybitnych autorów, to znów wynosi za wysoko kilka pomniejszych talentów. Jest tak olśniony niezwykłym rozkwitem nowej poezyi polskiej [1]), iż zowie ją pierwszorzędną we współczesnej Europie. *G. S.*

KORESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Jak czytać artykuły miesięcznika «Poglądu na świat», w których się trafiają słowa mało zrozumiałe i jakim się posiłkować słownikiem?

Odpowiedź. Trudność w tym wypadku może płynąć z dwojakiego źródła. Albo czytelnik zna pojęcie, o którem mowa, tylko pod inną nazwą, jak to się zdarza niekiedy, gdy używa się terminu obcego zamiast swojskiego. W takim razie dosyć jest w paru słowach wytłumaczyć znaczenie wyrazu, do czego wystarczy taki *Słownik wyrazów obcych* (wyd. M. Arcta w Warszawie). Najczęściej wszakże niezrozumiałość wyrazu wynika stąd, że czytelnik nie ma odpowiedniego pojęcia, albo ma bardzo niejasne pojęcie o przedmiocie objętym przez wyraz. W takim razie należy pojęcie to wytworzyć lub je wyjaśnić i uzupełnić. Za źródło tu posłuży najwłaściwiej *Encyklopedya.* Do niej radzimy zwracać się częściej niż do słownika, a skutek niezawodnie będzie lepszy. Z krótkich Encyklopedyj polecić można Wiślickiego (wyd. «Przeglądu Tygod.»; dawne wydanie w 3 tomach można nabyć w antykwarniach za rs. 3; nowe w 5 tomach jest droższe). — Obszerniejszą jest *Encyklopedya* Orgelbranda (dawne wydanie w 13 tomach — bardzo tanio u antykwaryuszów).

Pytanie. Chcę poznać ogólnikowo historyę, filozofię i literaturę główniejszych narodów, zacząwszy od czasów starożytnych aż do dni dzisiejszych. W jaki sposób mogę osiągnąć zamierzony cel?

Odpowiedź. Program studyów w tych zakresach częściowo ogłosiliśmy p. t.: *Studya nad historyą cywilizacyi* w I-szym roczniku naszego wydawnictwa (który na żądanie wysłać możemy). Do tegoż zakresu należą w tym samym roczniku artykuły: *Literatura powszechna* (syllabus), *Religie pierwotne*, *Historya w powieści i dramacie.* W roczniku II-gim (1901): *Historya filozofii starożytnej* (program studyów). Co do lektury ogólnie historycznej oraz gałęzi pominiętych w tych programach odsyłamy do książki W. M. Kozłowskiego p. t.: *Co i jak czytać?* zwłaszcza rozdziały VI, VIII i Dodatki III i IV (dział III). Polecamy również gorąco artykuł p. Chmielowskiego w zeszycie lutowym r. b. p. t.: *Historya w powieściach naszych.*

[1]) Niestety, wiemy co o tym rozkwicie sądzić należy! (Ob. zeszyt sierpniowy str. 282—285). *(Przyp. Red.).*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Wny F. B. w Sejnach.* Na wszystkich uniwersytetach żądają od wstępujących w poczet regularnych studentów bądź matury, bądź też (w niektórych państwach) świadectwa ze szkoły realnej. Można wszakże zapisać się w Krakowie lub Lwowie na hospitanta (wolnego słuchacza) i przygotować się tymczasem na maturę, którą nie tak trudno złożyć, jeśli idzie o dyplom. — Na inne pytania odpowiedź odkładamy, gdyż musimy zasięgnąć opinii specyalistów; to tylko zaznaczymy, że chociażby i nie dorównywał Donelaitis geniuszom wymienionym nawet w przybliżeniu, to dla każdego litwina poznanie jego, jako poety swojskiego, stanowi wdzięczne zadanie.

— *Kółko naukowe w Stanisławowie.* Program czytelnictwa i studyów w zakresie historyi literatury (obejmującej i *najnowszą*, do której wszakże ograniczać się nie należy) umieszczony był w Nrze 11—12 naszego pisma za rok 1900. Nra te wysłaliśmy pod podanym adresem.

— *Wny W. K. w Żerewie.* Seryj dzieł popularno-naukowych o jakie Pan zapytuje w języku niemieckim jest bardzo wiele. Jednem z lepszych i o stosunkowo wysokim poziomie jest wydawnictwo Göschena *(Sammlung Göschen*, Stuttgart, po 80 pf. tomik w oprawie, obejmujący około 10 arkuszy) — znajdzie je Pan w każdej księgarni. Obejmuje pojedyncze gałęzie nauk lub ich części. Przystępniejsza jest *Wissenschaftliche Volksbibliothek* (Schnurpfeil w Lipsku) po 20 pf. numer (w tomikach może być po kilka numerów, jak u Reclama). — Nieco droższa a bardzo popularna i dobra jest serya *Das Wissen der Gegenwart* (Freitag i Tempsky, Lipsk-Wiedeń) po 1 marce tomik w oprawie. Wszystkie wymienione serye zawierają rozmaite gałęzie wiedzy przyrodniczej i humanistycznej (u Göschena nawet fizyka matematyczna i t. p.), często poświęcone są pojedynczym postaciom wybitnym z historyi literatury, okresom dziejów, opisaniu krajów i t. p.

KRONIKA.

— **Moje pisemko** — pod tym tytułem zaczęło wychodzić pod redakcyą p. A. Szycówny pismo dla dzieci do lat 10. Wydawcą jest p. M. Arct. Pismo wychodzi tygodniowo zeszytami w formacie dużego 8-o. Zapełnione jest przeważnie treścią belletrystyczną odpowiednio dobraną; są także artykuły pouczające, jak np. *Babie lato i jego sprawcy*, *Z lat młodocianych A. Mickiewicza* i t. p. — Ożywiona korespondencya z młodymi czytelnikami w Nrze 3 świadczyć zdaje się o zainteresowaniu dziatwy pismem. Miejmy nadzieję, iż zapełni ono skutecznie pewien brak naszego piśmiennictwa peryodycznego — literatury dla najmłodszych czytelników.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

S. B. Milesi: *L'ipotesi della gravità nella biologia.* Bologna, 1902, str. 26 (odbitka z «Rivista di Filosofia»).

— *Relatione intorno ad un nuovo insegnamento di filozofia.* Brescia, 1902, str. 11.

Sofokles: *Antygona,* w przekładzie K. Kaszewskiego. Opracował dla użytku szkolnego P. Chmielowski («Arcydzieła polskich i obcych pisarzy», t. 14). Brody, West, str. 78. — Cena 60 hal.

W. Heinrich: *Teorye i wyniki badań psychologicznych.* Cz. I. Wrażenia zmysłowe. Warszawa, wyd. Kasy Mianowskiego, 1902, str. 307. — Cena 1·80 rs.

A. Niemojewski: *Dzień on, dzień gniewu Pańskiego.* Lwów. Nakł. «Promienia», 1902.

T. Ribot: *Psychologia uczuć,* przekł. K. Okuszko. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1901, str. 508. Cena 2·50 rs.

— *Wny M. w Stryju.* Po program szkoły najlepiej udać się do niej samej. Po *Botanice* Gerardina radzimy wziąść *Życie rośliny* Kozłowskiego; po *Chemii* Roscoe'go-Cooke'a *Odczyty o chemii nowoczesnej.* Do religij pierwotnych: Tylor *Cywilizacya pierwotna* (Rozdz. *o mytach i animizmie).* Do późniejszych: Draper *Dzieje stosunku wiary do rozumu.*

Redaktor odpowiedzialny: **Jan Dutkiewicz.** Wydawca: **Wł. M. Kozłowski**